UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ
H H
HERBATA
Z „KOPERNIKIEM"
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE MIESZANEK №№ 190, 100 i 23
SKŁAD GŁÓWNY: WARSZAWA · BRACKA 23
WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ
A DŁUGOKĘCKI · W. WRZEŚNIEWSKI · S.A.
FILJA MONIUSZKI 3

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXIII

ŚWIAT

№ 13

WARSZAWA, DNIA 31-go MARCA 1928 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

BIBLJOTEKI SZKOLNE dla nauczycieli i uczniów sporządzane według polecenia Ministerstwa Oświaty poleca Księgarnia Książnicy-Atlasu Warszawa, Nowy-Świat 59



KRAJOWE, NAJLEPSZE
MYDŁO DO GOLENIA
WYROBU
Lab. Chem. Farm. Apteki
M. MALINOWSKIEGO
w Warszawie
ul. Nowy-Świat 31, ul. Chmielna 4

CZEKOLADA DESEROWA
WEDLA
mało cukrzona, niezrównanej dobroci.
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Cała elegancka Warszawa
spotyka się tylko
W CAFE
GASTRONOMJA
NOWY-ŚWIAT 16
róg Alei 3-go Maja

gdzie w górnych salonach koncertują zwykle orkiestry zagraniczne, w dolnych zaś salonach pochlebnie znana orkiestra pod dyrekcją popularnego kapelmistrza J. Czarneckiego.

Ceny przystępne. Usługa szybka. Lokal otwarty do 4-ej rano.

Naukowa organizacja pracy urzędniczej

Jedną z największych i zarazem najdokuczliwszych wad naszej maszyny administracyjnej jest powolność urzędników w załatwianiu spraw. Z własnych i cudzych doświadczeń wiemy, że czynności, które mogłyby być wykonane w ciągu kilku godzin, ciągną się przez miesiące a nawet lata. Oto np. Okręgowy Urząd Ziemski na przeprowadzenie separacji jednego serwitutnika w majątku państwowym potrzebował pięciu lat, a na przesłanie pocztą swego orzeczenia o $2^1/_2$ godziny od Warszawy $2^1/_2$ miesiąca. Tempo już nie ruchu żółwia, ale wietrzenia skał jest zwyczajnym rytmem naszej biurokracji, która przytem umie przez 5 miesięcy prowadzić korespondencję między wydziałem rachuby a dyrektorem szkoły o 2, wyraźnie—o dwa grosze i do tego jeszcze wpłacone! Łatwo wyobrazić sobie oburzenie i przekleństwa interesantów, ale niepodobna zliczyć strat, jakie społeczeństwo ponosi z tego leniwego posuwania się robót biurowych. Te straty w swej ogólnej sumie nietylko dosięgają miljonowych sum, ale podtrzymują paraliż całego organizmu państwowego nadmierną formalistyką, nieudolnością i lenistwem urzędników, a wreszcie złą metodą ich pracy. Na tę ostatnią wadliwość zwróciła uwagę nasza młoda, a już bardzo zasłużona Naukowa Organizacja. W końcu kwietnia lub na początku maja zwołuje ona do Warszawy zjazd, na którym między referatami ma być wygłoszony jeden, dotyczący administracji państwowej i komunalnej; tymczasem zaś zamieszcza w swym *Przeglądzie* opis ciekawej próby praktycznej. Dr. K. Arct, inspektor starosta (Stanisławowa), przeprowadził badania czynności biurowych, z których wydobył ciekawe i pouczające wskazówki. „Okazało się, że zarówno manipulacja w kancelarji, jak i załatwianie referendarskie były zbyt powolne, akty zaś zatrzymywane zbyt długo na posterunkach kontrolnych.

Manipulacje kancelaryjne, które od chwili otrzymania aktu z poczty aż do wręczenia go referentowi wymagały dawniej od 3 do 8 dni, dały się po reorganizacji dokonać między godziną 8 a 13 i to bez szczególnego wysiłku, wobec czego akty po przejściu przez dziennik nadawczy, indeks, registraturę itd. znalazły się w dniu nadejścia na biurkach referentów.

Poczta ta została tego samego dnia a ewentualnie jeszcze na drugi dzień załatwiona przez referentów". Rocznie przechodzi przez urząd starościński około 23,000 aktów, z których połowa wymaga załatwienia pośpiesznego. Jeden referent może odrobić 32 dziennie; licząc 230 dni pracy—otrzymamy rocznie 7,360 aktów, a w sprawach masowych znacznie więcej. „Doświadczenia, jakie niedawno wykonałem, mówi autor — doprowadziły do znacznego przepływu aktów, dzięki nowemu ustawieniu biurek i stołów w naturalnym porządku następujących po sobie manipulacji, co umożliwiło szybkie i dogodne podawanie aktów z ręki do ręki".

Naukowa organizacja pracy zwróciła szczególną uwagę na oszczędność czasu i trudu. Dotychczas bardzo mało z tem się liczono. Czy robotnik lub urzędnik zużył na wykonanie pewnej rzeczy 10 minut, czy 10 godzin, a niekiedy nawet 10 dni, to nie wchodziło w ocenę

jego czynności. Marnowano czas i pracę bez rachuby, a straty, wynikające z tego marnotrawstwa, musiał pokrywać interesant lub spożywca. Zanim naukowa organizacja obrachowała, ile kopert można otworzyć lub zaadresować w ciągu godziny, nikomu na myśl nie przyszło zajmować się normalizacją tak podrzędnej czynności i wyliczeniem korzyści z większego w niej pośpiechu. Dziś i ona uległa „wzorcowaniu“, a świat zdumiał się wykazem zysków i strat z różnic postępowania bezładnego i uporządkowanego. Społeczeństwo o wysokiej kulturze i umiejętności zużytkowywania energji czynnej, zwłaszcza amerykanie doprowadzili sprawność urzędników do niezwykłej miary, o której my nie mamy wyobrażenia. W naszych typowych urzędach sprawy załatwiane są powolnie, niedbale i nieudolnie.

O natężonej i systematycznej pracy niema w nich mowy. Gdy w biurach i fabrykach amerykańskich podczas zajęć nie wolno rozmawiać, śpiewać, czytać gazet, telefonować prywatnie, siedzieć bezczynnie, a nawet palić, u nas to wszystko jest dozwolone. W Ameryce jest to wypadek niemożliwy, ażeby interesant czekał, dopóki urzędnik nie wypali papierosa, nie przeczyta gazety lub nie skończy rozmowy z kolegą, a u nas jest to obraz zwyczajny. Dodać trzeba, że ów męczennik cierpliwości czekać musi niekiedy godzinę po to tylko, ażeby usłyszeć, że jego sprawa nie jest jeszcze załatwiona *).

Na opieszałość naszych urzędników złożyło się kilka przyczyn. Przedewszystkiem brak tradycji i szkoły. Polska niepodległa nie miała administracji prawidłowej, Polska podległa w zaborze rosyjskim miała obcą i lichą, w pruskim dobrą, ale obcą, w austrjackim — potworną swym bezmyślnym i martwym biurokratyzmem. Właściwie urzędnik polski dopiero się rodzi. Dotychczas pozostaje on jeszcze w postaci pierwotnej, przygotowawczej, nieukształconej. Przeważnie chwycił się tego zajęcia, bo do innego nie był zdolny lub nie mógł go zdobyć, to też pracuje leniwie i nieudolnie a przytem z dumą i wszystkiemi kaprysami rozkazodawcy. Z czasów niewoli, kiedy urzędnicy byli przedstawicielami siły ujarzmiającej, zachowało się pojęcie, że oni nie są sługami, ale panami społeczeństwa. Chłop w każdym policjancie, referencie powiatowym, poborcy podatków, w każdym osobniku, który siedzi przy biurku w urzędzie, a nadewszystko gdy nosi mandur, widzi władzę o szerokich i zwykle nieznanych mu granicach. Nigdy by się nie odważył żądać od tego pana pośpiechu lub oznaczenia terminu. Co najwięcej, może go tylko o to błagać. W mniejszym stopniu, ale to samo objawia się na wyższych poziomach układu społecznego. Inteligent, który umie na pamięć prawo administracyjne i konstytucję, podda się decyzji urzędnika, bo go również uważa za władzę, za istotę, mającą przywilej rozkazywania i samowoli.

Ale to się zmieni, bo zmienić się musi, jeżeli naród ma pójść dalej drogą demokratyczną. Polacy zaś przedstawiają dobry materjał administracyjny. „Wszyscy urzędnicy kancelaryjni—powiada wspomniany inspektor — stanęli na wysokości zadania i sami zaczęli się kontrolować wzajemnie, a wkońcu po 8 dniach prób i wypisywaniu na luźnych kartkach codziennych wyników wydajności i zużytego czasu, sami ustalili wyżej opisane wyniki, które zgodziły się z mojemi obliczeniami i spostrzeżeniami“. Więc trzeba tylko nauczyć, odwołać się do rozumu i dobrej woli.

Naukowa organizacja pracy urzędniczej pomoże do rozwiązania niezmiernie ważnej kwestji — ilości sił czynnych w administracji. Dotąd odbywa się na tym gruncie śmieszna zwada. Jedni dowodzą, że w jakiejś dziedzinie jest ich zawiele, drudzy, że zamało. Różnica pochodzi stąd, że właściwie obie strony nie wnoszą do sprawy ścisłego obrachunku, tylko albo domniemanie, albo praktykę dotychczasową. Gdy w każdym dziale administracji dokonane będzie takie badanie i takie zmiany, jakie przeprowadził inspektor stanisławowski w kilkunastu starostwach, wtedy będziemy wiedzieli dokładnie, ilu pracowników potrzebuje każde ministerstwo, wtedy niewątpliwie odbędą się znaczne redukcje, tylko że nie według widzimisię zwierzchników, ale według ścisłych obliczeń. Oprócz oszczędności w wydatkach skarbu państwa, społeczeństwo otrzyma większą sprawność i wydajność pracy urzędniczej, która obecnie w niektórych biurach dochodzi do skandalicznej nieudolności i opieszałości. Dzięki temu wytworzyło się położenie nieoczekiwane i bardzo smutne: społeczeństwo, zamiast korzystać i cieszyć się z administracji własnej, złorzeczy jej i obarcza ją najcięższemi zarzutami.

Aleksander Świętochowski

*) E. Eysmond opowiada w nr. 10 *Świata*, że osacznicy, którym ryś wymknął się podczas polowania w puszczy Lubańskiej, klęli: „Kaby ty, chaljera, po polskim urzędam chadił“.



Otwarcie Sejmu

Pierwsze posiedzenie nowego Sejmu wprowadziło nas odrazu w atmosferę walki. Trzeba było wezwać na salę policję i usuwać posłów, nie dających przyjść do słowa prezesowi rady ministrów, odczytującemu orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Ale nie ten skandal, wywołany przez komunistów, a rozdmuchany do niesłychanych rozmiarów przez dzienniki, jakby awantury parlamentarne były czemś niezwykłem, stanowił *clou* inauguracyjnego posiedzenia. Daleko donioślejszym faktem było opuszczenie sali przez 125 posłów, wybranych z listy Nr. 1, z powodu upadku ich kandydata na marszałka Sejmu i przejścia p. Daszyńskiego. Podobno porażka ta oburzyła ich do tego stopnia, że postanowili wstrzymać się od pracy w Sejmie i bojkotować wybrane wbrew nim prezydjum.

Zła to metoda polityczna. Kto zasiada w parlamencie, ten musi uznawać zasadę większości i poddać się jej lojalnie. Inne postępowanie prowadzi do anarchji i zwykłego warcholenia. Nie przystoi to zwłaszcza posłom, wybranym pod hasłem współpracy z rządem i obrony interesów państwa. Mamy też nadzieję, że gdy świeżo obrani i niedoświadczeni jeszcze parlamentarzyści ochłoną z pierwszego gniewu, uznają swój błąd i wezmą się do pracy, której się podjęli wobec wyborców, gdyż jest to jedyny sposób zapewnienia sobie w przyszłości większości i prawa do rządzenia krajem.

Dąsy nawet w życiu prywatnem nie są miłe, a w polityce zawsze kończą się przegraną.

wgie.

Z PARYSKIEGO SALONU NIEZAWISŁYCH



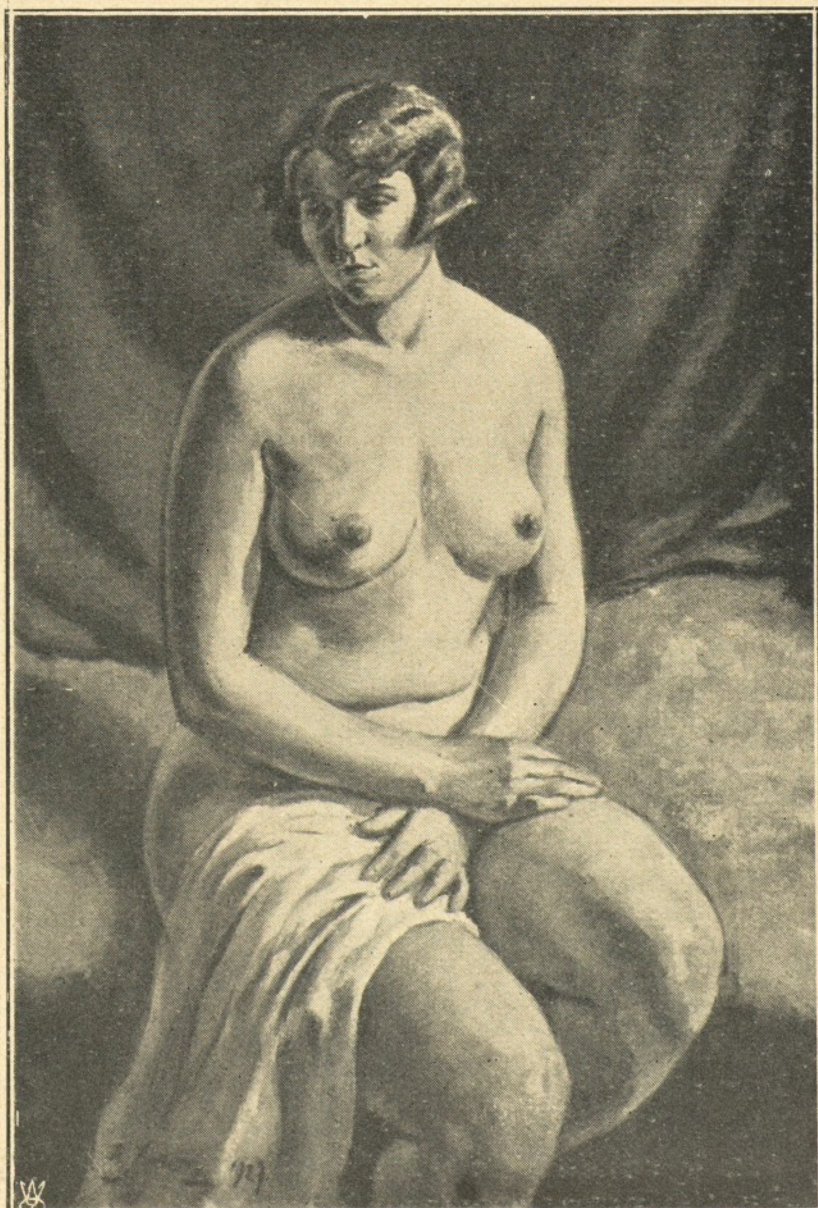
Coze — *Mitawa (wesele indyjskie)*



L. Verdilhan — Fot. Roseman — *Przekupka Norina*



B. Czedekowski — Fot. Roseman — *Przedwiośnie*



Jarosz — Fot. Londynski — *Akt*

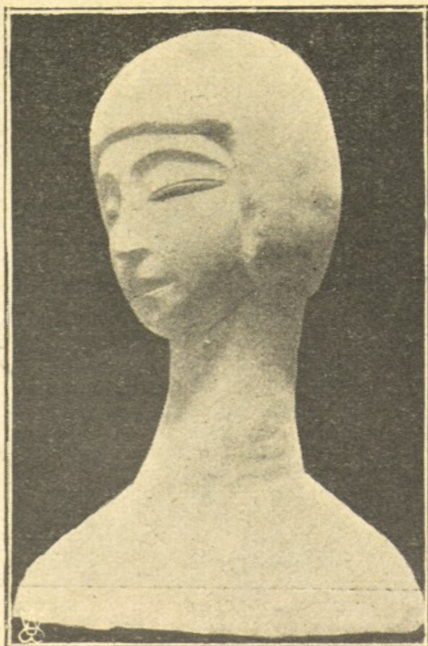


Nai Fot. J. Roseman *Dancing*

Z paryskiego salonu niezawisłych

Miałem już sposobność wyrazić w „Świecie" swe wątpliwości co do artystycznej racji bytu kolosalnych Salonów paryskich. W szczególności stosuje się to do Salonu Niezawisłych, którego rola ongiś historyczna wydaje się dziś skończoną. Istotnie poziom wymagań stawianych przez jury w innych salonach jest tak niski, że brak jury u Niezawisłych niewielką już robi co do tego różnicę.

W tym roku, jak od lat kilku, Niezawiśli nie mają się czem specjalnie popisać. Nie uważam zresztą, by sezon obecny przedstawiał się gorzej, niż zwykle. Przeciwnie. Wszakże najogólniejszą jego cechę stanowi brak dzieł o wybitnem piętnie inicjatorskiem. Tu i ówdzie napotkamy parę płócien doskonałych, pozatem kilkanaście dobrych, kilkadziesiąt niezłych.



Lindenfeldówna *Główka (rzeźba)*

Na wystawie „akt" zadziwia swą liczbą i pospolicie niemal akademicką poprawnością. Zanotujmy żywotną pracę Tavernier, śmiały akt du Marboré, wdzięczne akty J. Dénier, Dénis Valverane, Castelucho.

Z kompozycyj rodzajowych zauważyliśmy z rozmachem sarkastycznym szkicowany Dancing p. Nai, surową i jędrną plastykę przekupki Noriny p. Verdilhan; brutalną siłą odznacza się pełna wioślarzy i dziewcząt łódź Szumanowicza, zabawnie malownicze jest „Porwanie" (weselny obrządek indyjski) p. Coze'a. Do ciekawszych rzeczy należą też kompozycje w duchu oryginalnego prymityzmu Serge'a Ferat, bardziej oschła, ale tęga Survage'a, monumentalny szkic Geo Condé. Wśród pejzaży wybija się mocarna w swem dzikiem pustkowiu zatoka Sabbagha ,interesujące widoki Duchamp, Trochain'a, Luce, Signac'a, Łapszyna.

Polacy, jak zwykle, liczni. Najoryginalniejszą może rzecz w całym Salonie dał F. Angiboult (pseudonim polskiego artysty). Na tle złoconem, jak w dawnych mozaikach, rozplata się korowód — Dziewięciu Muz. Nic — z klasycyzmu zresztą. Twarze, układ ramion i gesty zaznaczone plamami, a raczej falami przelewnemi barw.

W przeciwstawieniu do p. Angiboult p. Puciatycka widzi świat poprzez geometryczną formę kształtów umiejętnie skomponowaną i rozłożoną. Świeżość kolorytu i harmonja kompozycji podnoszą wartość samoistnej jej wizji artystycznej. P. Peske daje nam dwie odmiany swego pięknego talentu. Monumentalna, prosta i w swej surowości wzniosła katedra w Nantes wywołuje w nas dziwne wzruszenie, jako symbol wiary, porywów i ukojeń biednych rzesz ludzkich, które kornie pod jej skrzydła się garną. Inną wspaniałość, a jednak pokrewną — świątyni przyrody — posiada jego olbrzymi dąb, samotnie rozpościerający swe majestatyczne konary. Dwa akty kobiece p. T. Łempickiej są harmonijnem skojarzeniem męskiej siły i wdzięku kobiecości. Umiejętne wyzyskanie mas i płaszczyzn barwnych syntetycznie ujętych stanowi jedną z podstaw uroku tej oryginalnej artystki. P. J. Hecht posiada uczucie humoru nie już w samej tylko fantazyjności swych kompozycyj murzyńsko - animalistycznych, ale i w posługiwaniu się kolorem, który do niedawna jeszcze u niego szwankował. P. J. Januszewski obok kompozycji „indyjskiej" z modelem o trzech rękach i tyluż nogach dał jędrny i śmiały akt leżący. Zalety kolorystyczne i prawdziwie malarska wrażliwość cechują oba płótna bardzo zdolnego p. Kanelby. Coraz wyraźniej wybija się p. Jarosz. Niepodobna odmówić poważnych zalet obu jego aktom. Pomysły dekoracyjne w stylu formistycznym p. A. Hohermannówny zasługują na uwagę. Kwiaty p. Weingarta nabyły obok swej dawnej lotności soczystych walorów formy. P. Seifert ma predyspozycję do tematów brzydkich, które ujmuje z niezaprzeczonym talentem malarskim. Dużo barwności i ruchu, dużo sztuki w kompozycji i akcie p. Wielhorskiego. Interesujący akt p. Nawroczyńskiego sąsiaduje z wdzięcznym pejzażem, uchwyconym przez dobrego miniaturzystę. Wiotka dziewczynka (akt od pleców) przed werandą i na tle rozległego pejzażu p. Czedekowskiego zaleca się naiwnym urokiem zarówno młodocianego ciała, jak i faktury malarskiej. Dwa płótna p. W. Chełmońskiej pociągają swą barwnością, ale wolno nam wymagać znacznie więcej od tej zdolnej artystki. P. K. Zieleniewski ma bujny, nieokiełznany temperament malarza z bożej łaski. Żywimy nadzieję, że i kraj wreszcie pozna się na tym szczeropolskim prymitywiście.

Z braku miejsca możemy tylko wymienić panie: Decler, Fedorowicz, Górecką, Wolską, Szymborską, panów: Domańskiego, Idźkowskiego, H. Gotliba, Kodkina.

Edward Woroniecki

Paryż.



Tamara Łempicka *Akt*



O, ojczyzny prawych studentów, Getyngo, Wilno i Oxfordzie.
U was nie może dostać patentów głupiec, hultaj lub niecnota!

Poležajew: Sobranje soczinienij. 1888 p. 323-324

Długie lata deliberował zakon Jezuitów, jakby w Wilnie akademję założyć, ile że brak jej dawał się zdawna odczuwać. Nadewszystko tytuł akademji potrzebny był jezuitom dla stopni naukowych, ażeby po nie nikt próżno nie peregrynował w zamorskie kraje, skąd przywoził „nowinki" religijne, często obrazę Boską stanowiące.

Był to bowiem wiek XVI, w którym ścierały się w Rzeczypospolitej dwa wrogie obozy: katolicki i protestancki. Biskup wileński, Walerjan Protasewicz, widząc owocną pracę jezuitów w Koronie, sprowadza ich do Wilna dla umocnienia katolicyzmu na zagrożonych od inowierców kresach.

W roku 1570 jezuici zakładają pierwsze w Wilnie gimnazjum. Akademję obiecuje im wprawdzie król Zygmunt August — z racji stanu wielce Jezuitom przychylny — śmierć atoli udaremnia mu zrealizowanie planu. Zawiedzeni dotkliwie, musieli się jezuici kontentować zapisaną im w testamencie przez króla — bibljoteką.

Stefan Batory, na tron polski wprowadzony przez inowierców, mógł stanowić poważną przeszkodę w urzeczywistnieniu jezuickich zamiarów. Tymczasem Batory za szczególny przedmiot swej opieki obiera właśnie ten zakon. Były w tej polityce przyczyny głębsze. Batory, z przekonań swoich zwolennik silnej władzy królewskiej, nie rad był istniejącym w Polsce rządom republikańskim. Pragnął wykorzenić w społeczeństwie owe republikańskie obyczaje, a wpoić zasadę monarchizmu. W tem przeświadczeniu należało wychować młode pokolenie. Jezuici nietylko organizacją swoją przewyższali protestantów, lecz i systematycznością nauczania. Ich przekonania były nawskroś monarchiczne.

Były również względy polityczne. Popierając Jezuitów, jednał sobie Batory Rzym, a w ten sposób osłabiał wpływy cesarstwa niemieckiego. Batory miał nadzieję za pośrednictwem papieża umorzyć pretensje Austrji do tronu polskiego i pomyślnie załatwić spory, dotyczące jego dziedzicznego Siedmiogrodu.

Jezuici, pewni, że chwila odpowiednia nadeszła, zwrócili się do biskupa Protasewicza, aby im ułatwił u króla potwierdzenie kolegjum w Wilnie wraz z wyższą przy niem szkołą. Protasewicz wespół z koadjutorem Jerzym Radziwiłłem zanieśli prośbę, wywodząc, jak wielkie korzyści spadną na kraj w „liczne dowcipy obfitujący", gdy posiędzie szkołę główną, w której kształcić się będzie młodzież, a dojrzalsi będą mogli nabywać „lustru i cnoty".

Król przyjął prośbę łaskawie za pośrednictwem kapelana Solikowskiego, również jezuitom przyjaznego i — zjechawszy do Lwowa, w r. 1578 dnia 7 lipca wydał przywilej, powołujący do życia akademję wileńską.

Stanąwszy na pewnej podstawie, jezuici pozyskali zatwierdzenie swych praw i przywilejów na sejmie warszawskim a. d. 1585.

*

„Akademja walki", jak ją trafnie nazywa J. I. Kraszewski, rozwija się nader szybko pod kierunkiem światłych przewodników, czyniąc dotkliwe szczerby w obozie protestanckim. Przyciąga coraz liczniejsze zastępy scholarów. W drugim roku swego istnienia liczy ich sześciuset, a w r. 1598 — ośmiuset.

Ze spisu z r. 1604 widać, że studjowali w wileńskiej akademji: italczycy, węgrzy, niemcy, inflanczycy, duńczycy, szwedzi, norwedzy, nawet szkoci.

Splendoru nadaje akademji poczet mężów uczonych a znakomitych, jako to Piotr Skarga, któremu najwięcej na sercu leżało, ażeby ojczyzna uzyskała *„emporium in septentrionem"* — a obok niego Jakób Wujek, Antoni Arias, Emanuel de Vega i głośny na świat cały (a najmniej w Polsce) poeta łaciński, Maciej Sarbiewski, profesor wymowy w Wilnie.

Apogeum w rozwoju akademji przypada na wiek XVII. Królowie darzą ją licznemi przywilejami i protekcją, Kazimierz Lew Sapieha funduje fakultet prawa, Władysław IV zabiega, aby uczono w akademji zarówno praw świeckich, jak i medycyny.

Od drugiej połowy XVII wieku cała cywilizacja europejska przeżywa okres powszechnego upadku. Okres ten przechodzi i Polska. Wojny: szwedzka, moskiewska i tatarska wycieńczają organizm państwa, całą energję narodową skierowując w stronę obrony granic. Preponderancja żywiołu zakonnego nie pozwala nauki unowożytnić, dać dostęp nowym gałęziom wiedzy, powstałym w Europie zachodniej.

Od zamarcia kompletnego ratuje uniwersytet wileński breve papieskie 1773 r., kasujące zakon Jezuitów. Joachim Chreptowicz organizuje wiekopomną Komisję Edukacyjną, która oświatę przesuwa na nowe tory.

Zasadniczą reformę uniwersytetu przeprowadza Komisja Edukacyjna w r. 1781, zmieniając nazwę uniwersytetu na *Szkołę główną W. Ks. Litewskiego*. Wykładają w niej: Marcin Poczobut, Wawrzyniec Gucewicz, Hieronim Stroynowski i inni niemniej rozgłośni w nauce.

Pod rządami Rosji Szkoła główna przekształca się na *Szkołę główną wileńską* i wreszcie na *Uniwersytet wileński* (XIX w.)

Jest to najświetniejszy okres akademji, kiedy stanowiła ona jedyną wielką polską placówkę kulturalną i była ogniskiem polskości na gwałtownie rusyfikowanych ziemiach.

Okres ten uniwersytetu zdobią nazwiska takich profesorów, jak: obaj Śniadeccy, Jędrzej i Jan, Stanisław Jundziłł, Franciszek Smuglewicz, Groddeck Euzebjusz Słowacki, Leon Borowski, Tadeusz Czacki, J. Lelewel i długi szereg innych.

Jeszcze raz przeobraża się uniwersytet wileński w r. 1832 na *Akademję wileńską* — trwa do r. 1842 i zostaje definitywnie zamknięty.

*

Fortuna variabilis, Deus mirabilis!

— „Działo się w Kolumnowej Auli prastarych murów Akademji Wileńskiej, dnia 11 października roku 1919 od narodzenia Chrystusa Pana, 555-ego od założenia pierwszego Uniwersytetu polskiego w Krakowie, 341-ego od otwarcia przez Stefana Batorego Wszechnicy w Wilnie, setnego od tej pamiętnej chwili, kiedy Wieszcz Narodu Polskiego, Adam Mickiewicz w tej samej Auli otrzymał dyplom ukończenia nauk, a 87-ego od owych dni bolesnych, w których wróg zamknął murów podwoje i zgasić usiłował jasny strumień z Wileńskiej Najwyższej Uczelni bijący"...

Temi słowy rozpoczyna się akt erekcyjny, otwierający *wskrzeszoną* Wszechnicę Stefana Batorego w dniu 11 października 1919 roku.

Rozkazem Naczelnego Wodza uchwalono statut tymczasowy Uniwersytetu Stefana Batorego i ustanowiono sześć wydziałów: humanistyczny, teologiczny, prawa i nauk społecznych, matematyczno - przyrodniczy, lekarski i sztuk pięknych. Nadto przy wydziale lekarskim istniało od początku studjum farmaceutyczne, a od r. ak. 1923 - 24 powstało przy wydziale mat. -przyrodniczym studjum rolnicze.

Władzę U. S. B. powierzono ogólnemu zebraniu profesorów, Senatowi, Rektorowi, Radom wydziałowym i dziekanom.

*

Cyfry tylko zdolne są przedstawić obraz szybkiego rozwoju M. S. B. Od chwili ponownego otwarcia uniwersytetu tabela statystyczna wykazuje zgórą pięciokrotny wzrost ogólnej liczby studjującej młodzieży.

W tym czasie, kiedy uniwersytety: krakowski, poznański oraz obie nasze politechniki dotkliwie odczuwają zmniejszenie się frekwencji studjującej młodzieży — Uniwersytet wileński, pomimo znacznego obniżenia dotacyj (o 30% w porównaniu z rokiem ubiegłym) i pomimo stosowanej do uniwersytetu polityki redukcyjnej i oszczędnościowej



Uniwersytet w Wilnie Fot. J. Bułhak

— w r. ak. 1925/26 wykazał był przyrost 268 studentów, a rok 1926/27 zanotował z kolei przyrost 300 studentów.

W roku ubiegłym ogólna liczba studentów U. S. B. wynosiła 2806 — przyczem nader korzystnie zmienił się stosunek procentowy do wolnych słuchaczów.

Ilość wolnych słuchaczów z 35,84% w pierwszym roku akademickim spada ostatecznie w *obecnym* roku akademickim do 6,73%.

Dyplomów naukowych wydał uniwersytet w ub. r. 128. Nostryfikował sześć zagranicznych doktoratów, z czego 1 na wydziale teologicznym, a pięć na wydziale prawa. Na wydziale humanistycznym nadano tytuły doktorów honorowych nast. uczonym: Al. Brücknerowi, L. Finklowi i J. Kallenbachowi.

W ostatnich latach zwiększyło się również grono nauczycielskie U. S. B., przyczem stosunek liczebny zastępców profesorów do profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych zmienił się o tyle korzystnie, że liczba zastępców profesorów, która w pierwszych latach akademickich stanowiła bezmała połowę wykładających — obecnie zredukowana została do niespełna 20%.

Wydajność pracy naukowej wzrosła znacznie. W r. ak. 1924/25 na 100 osób z pośród profesorów, docentów, adjunktów i starszych asystentów — wypadło 80 prac naukowych. Jeżeli wziąć pod uwagę, że np. w Uniwersytecie Jagiellońskim w r. ak. 1913/14, a więc w normalnym, przedwojennym okresie — i to w uniwersytecie oddawna zorganizowanym — przypadło 130 prac na 100 pracowników naukowych, to porównanie takie przy uwzględnieniu znacznie gorszych warunków w r. 1924/25. świadczy, że praca naukowa w Uniwersytecie wileńskim rozwija się zupełnie pomyślnie.

Profesorowie rok rocznie uczestniczą w naukowych zjazdach zagranicznych, zawiązując w ten sposób coraz ściślejszy węzeł z zagranicznemi placówkami naukowemi. W r. ak. 1925/26 prof. dr. Juljan Szymański wygłosił referaty na Zjeździe Okulistycznym w Paryżu oraz w Rio de Janeiro, prof. dr. St. Władyczko, jeden z najznakomitszych światowych neurologów, miał 4 referaty na kongresach neurologicznych międzynarodowych i francuskich. W r. 1925 prof. dr. Marjan Zdziechowski został specjalnie zaproszony przez Sorbonę do wygłoszenia cyklu wykładów w paryskiem Institut Slave.

W ubiegłym roku na zjazdy zagraniczne wyjeżdżają: prof. dr. Wacław Komarnicki do Rumunji, gdzie wygłosił szereg odczytów o zmianie konstytucji polskiej, prof. Mieczysław Limanowski bierze udział w zjeździe geologów w Bukareszcie, prof. Prüffer—w zjeździe zoologów w Budapeszcie, a prof. dr. J. Szymański wyjeżdżał do Paryża na zjazd okulistów, uczestniczył, jako delegat Polski, w pracach komitetu organizacyjnego międzynarodowego zjazdu okulistów w Hadze, tudzież brał czynny udział w zjeździe okulistów angielskich w Oxfordzie.

W murach swych przyjmuje Uniwersytet wileński w roku ubiegłym dwuch profesorów bukareszteńskich, gości Instytutu Administracyjnego. W tymże samym roku odbywają się w Wilnie zjazdy: dermatologów, pedjatrów polskich, etnologów i etnografów słowiańskich.

*

Staraniem poszczególnych profesorów ukazują się przy uniwersytecie naukowe publikacje perjodyczne. Wychodzi więc i *„Kwartalnik Teologiczny"* pod redakcją ks. prof. Wilanowskiego i *„Rocznik Prawniczy"*, organ Wydziału prawa i nauk społecznych, prowadzony przez komitet redakcyjny z prof. Wacławem Komarnickim na czele. Dalej—ukazuje się znakomicie redagowany przez prof. Władysława Dziewulskiego *„Biuletyn Obserwatorjum Astronomicznego"*, tudzież *„Archiwum Higjeny"* pod redakcją prof. Kazimierza Karaffa-Korbutt.

Omawiając działalność uniwersytetu *pro foro externo*, na zewnątrz — niepodobna pominąć milczeniem Powszechnych wykładów uniwersyteckich, zorganizowanych przez prof. Stefana Glixelli'ego. Wykłady te odbywają się w trimestrach: jesiennym i wiosennym, dwa razy na tydzień.

*

Organizacja wszystkich pięciu wydziałów rozwinęła się i unormowała. Jedynie Wydział sztuk pięknych w ub. r. ak. uległ zmniejszeniu skutkiem zarządzonej przez ministerstwo W. R. i O. P. likwidacji działu architektury. Studjum rolnicze, którego zamierzona likwidacja żywo zaniepokoiła opinję publiczną — udało się przecież zachować.

*

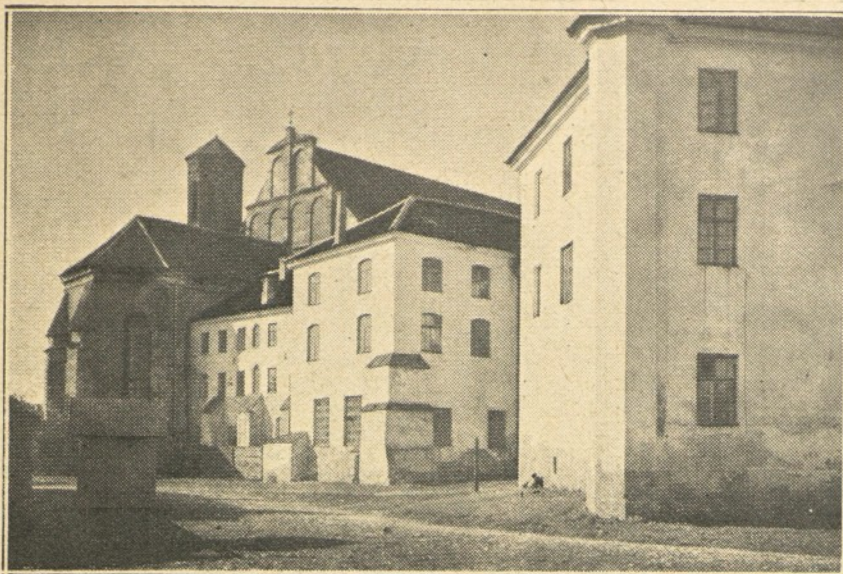
Rozwój Bibljoteki Uniwersyteckiej skutkiem redukcji dotacji uległ częściowemu zahamowaniu.

Korzystało z Bibljoteki w ub. roku 2336 osób (w r. 1925/26 — zaledwie 1675 osób). Frekwencja roczna wykazała 47.996 odwiedzin, wobec 32.310 z roku poprzedniego.

*

Budżet uniwersytetu za rok 1926 wyraził się łączną sumą 2.502.260 złotych, z czego 1.970.355 zł. poszło na wydatki personalne, a 531.911 zł. — na wydatki rzeczowo-administracyjne. W porównaniu z rokiem 1925 suma budżetowa zmniejszyła się o 137.000 zł., przyczem redukcja dotknęła wyłącznie rachunek dotacyj rzeczowo-administracyjnych, a więc tych, które stanowią o materjalnym wzroście instytucji.

Znaczną pomoc dla pracy naukowej asystentów przynosi Fundusz im. Marszałka Piłsudskiego, powstały z ofiarowywanej na ten cel całej pensji marszałkowskiej z okresu, kiedy Józef Piłsudski był Naczelnikiem Państwa. Z procentów od tego funduszu wypłacono dotąd kilka nagród za drukowane prace naukowe asystentów U. S. B.



Mury Bernardyńskie Fot. J. Bułhak

Niemałe poparcie materjalne uniwersytetowi przynosi również rząd i społeczeństwo. Stypendjów państwowych otrzymał Uniwersytet pięćdziesiąt. Ponadto Senat utworzył jeszcze dwanaście stypendjów z opłat studenckich na fundusz stypendjalny akademicki.

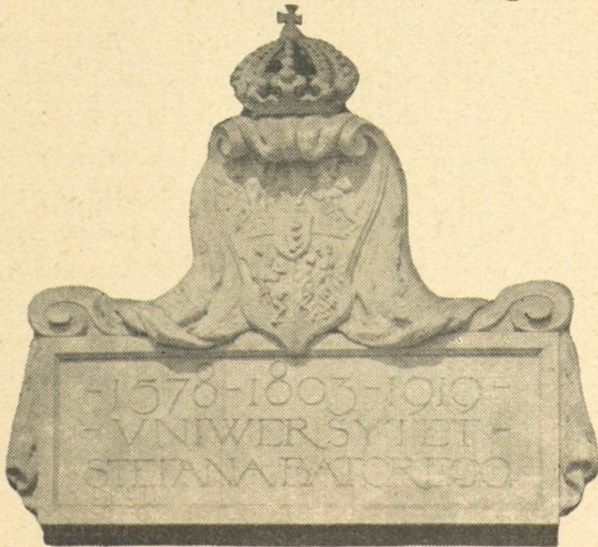
Łącznie stypendja te wyniosły za rok ubiegły 55.800 zł.

*

Jakie są dziś potrzeby Batorowej Wszechnicy?

Jest ich niemało. Jedną z najpilniejszych tedy — to uzyskanie kredytów inwestycyjnych, zwłaszcza na nowe budowle. W tej dziedzinie najbardziej paląca jest sprawa klinik uniwersyteckich. Dotąd wszystkie, z wyjątkiem jednej tylko kliniki ginekologiczno - położniczej, mieszczą się bądź to w budynkach szpitala wojskowego, bądź miejskiego, a więc w budynkach cudzych i w wysokim stopniu niewystarczających potrzebom. Zachodzi też potrzeba budowy Obserwatorjum Astronomicznego, przyrządy którego mieszczą się w drewnianym, prowizorycznym pawilonie. Z każdym rokiem coraz bardziej gwałtowną staje się potrzeba nowych i większych znacznie sal wykładowych, oraz — rozszerzenie seminarjów i zakładów. Przyjdzie również zaopatrzeć troskliwiej bibljoteki, zbiory i przyrządy w tych zakładach, uposażenie których w pomoce naukowe jest zgoła niewystarczające.

Tandem: najważniejsze są potrzeby lokalowe. Świadczy o tem stały i znaczny wzrost liczby słuchaczów.



*

Nietrudno będzie odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu Uniwersytet Stefana Batorego spełnia swą misję kulturalną na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

Niema w całej Polsce miasta uniwersyteckiego, w którem by uniwersytet odgrywał tak przemożny wpływ na całe życie społeczne — jak w Wilnie.

Niema poczynań kulturalnych, naukowych czy gospodarczych bez udziału Uniwersytetu wileńskiego.

Pierwszą, zasadniczą misję — kształcenia młodzieży — spełnia Uniwersytet z całą pieczołowitością. Na 2.806 studentów w r. ak. 1926/27, z Kresów Wschodnich pochodzi 1.351, w tem z samego Wilna — 327 studjujących. W tej liczbie białorusinów jest dwudziestu ośmiu, litwinów dwudziestu dwuch. Młodzież białoruska i litewska zakłada w U. S. B. swoje własne koła naukowe, swobodnie pielęgnując w nich rodzimy dorobek kulturalny i narodowościowy.

Dalej — urządzając liczne wykłady powszechne, promieniuje Uniwersytet na najszersze warstwy społeczeństwa.

Wydział sztuk pięknych spełnia bardzo ważne zadanie w dziedzinie konserwacji tak licznych na Ziemiach Wschodnich zabytków sztuki. Chętnie też zaznajamia z niemi i z ich wartością zarówno współziomków, jak i coraz liczniej zaglądających do Wilna cudzoziemców.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Lekarskie i długi szereg innych odrodziły się nanowo pod ożywczem tchnieniem dobroczynnego wpływu Uniwersytetu.

W tem leży olbrzymie znaczenie Uniwersytetu Stefana Batorego. W tem przejawia się jego niepożyta siła, źródło swe mająca w wielkich tradycjach Akademji Wileńskiej.

Eugenjusz M. Schummer



Typowy kształt lodowej góry

Namiot rozbijamy pod suchym już stokiem góry, porosłej kobiercem kwitnącej szałwi. Nie jesteśmy jednakże sami. W sąsiedztwie naszem najbliższem „zamieszkują" bowiem w namiocie już od 3 tygodni 2 absolwenci berlińskiego uniwersytetu i jedna „koleżanka". — Zajmują się pomiarem jeziora, które, jak całe zresztą wnętrzne wyspy, nie zostało jeszcze zdjęte kartograficznie. W chwili naszego przybycia namiot ich jest pusty tak, że dopiero wieczorem zawieramy z nimi znajomość, krótką zresztą, ograniczającą się do ogólnego wyznania pochwały samotności. Przed rozłożeniem się do snu robimy pierwszy wywiad pieszy ku lodowcom.

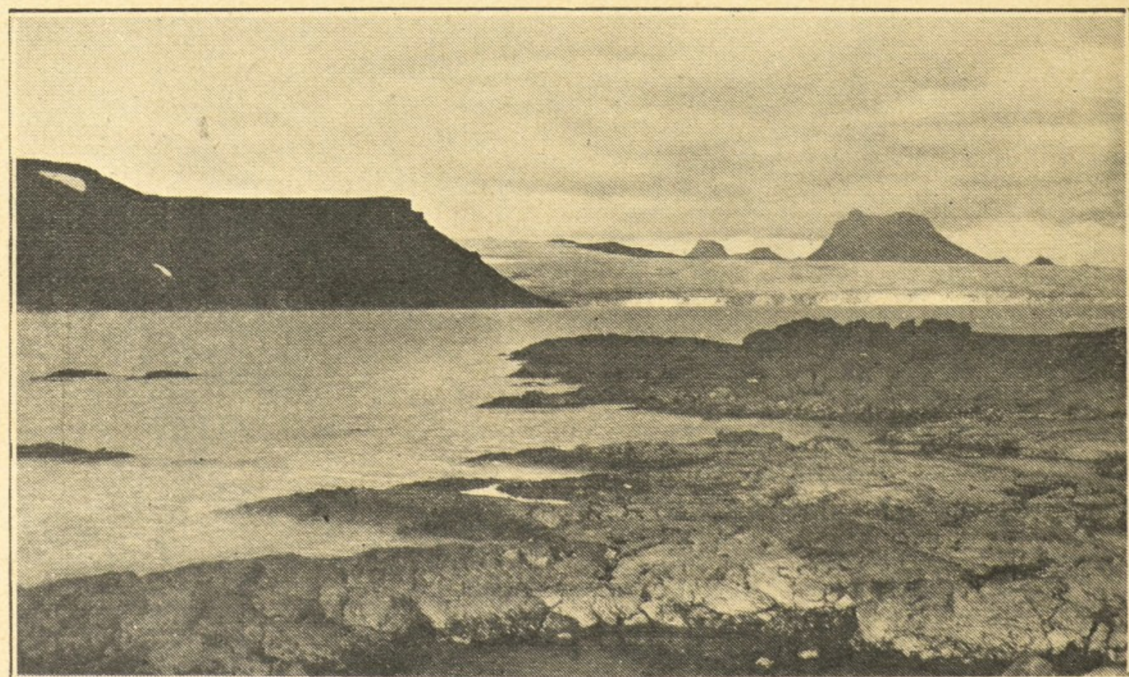
Wyże lodowe Islandji, że już użyję tego terminu, nieznanego dotąd w naszem słownictwie geograficznem, stanowią pośrednią formę między lodowcami typu alpejskiego a lodem śródziemnym Grenlandji. Podstawę ich stanowi skupienie gór o charakterze płaskowyża, którego wysokość przenosi 1000 metrów ponad poziom morza, linja bowiem wiecznego śniegu odpowiada naogół na Islandji tej granicy*). Rozległość tych krain lodu, które łącznie zajmują 1/8 całego obszaru wyspy, jest olbrzymia; osiąga bowiem na Wałna — Johull 8.500 km^2, podczas gdy wyż lodowy Sona - Johull, okrążany przez nas od 4 dni, trzeci co do wielkości, ocenia się w przybliżeniu na 1.600 km.^{2}. Jednolite i dość połogie na wyżynach, — upodabniają się do alpejskich rzek lodowych w miejscach, gdzie obsuwają się w doliny. Grubości pokładów tych pól nie zdołano ani usiłowano nawet zmierzyć.

Spowite wiecznemi niemal mgłami, niedostępne, otoczone urwiskami i topielą bagien, — stanowią w przyrodzie Islandji czynnik szczególny, — bierny napozór i obojętny — lecz jakże ważki gatunkowym ciężarem swej olbrzymiej bezwładności. Widać je w pogodny dzień wszędzie i zawsze, a śnieżne wyniosłe ich dachy są najbardziej znamienną, najwięcej przykuwającą uwagę cechą Islandji. Starodawne sagi nie wspominają o nich niemal zupełnie, w życiu ludu dzisiejszego otacza je legenda niedostępności równie wyolbrzymiona, jak przesądna. Człowiek islandzki, rzec można, wyklął je z rzeczywistości swego życia, a nawet z dziedziny fantazji. W liryce dawniejszej i współczesnej znajdziemy mnóstwo pieśni o ptakach, łąkach, mchach i wodospadach — wspaniałe wszakże piękno lodowych gór pomijane jest milczeniem.

I oto stoją wśród pustyń islandzkich białe zamczyska lodów, wyniosłe, dalekie, nietknięte ludzką stopą. A jednak tam na mroźnych ich wyżynach i ponad niemi ważą się losy wyspy w nieustannym młynie atmosferycznych zmian. — Klimat Islandji jest, jak wiadomo, wypadkową pomiędzy ciepłem tchnieniem golfstromu a mroźnemi podmuchami biegunowych pól. W walce tej lodowce Islandji odgrywają rolę zbiornika wiatrów, chmur i zimna, który je raz ściąga i gromadzi na zapas, drugi roztrąca na cały obszar wyspy i daleko poza nią. Suma tych działań wypada oczywiście na korzyść zimna, gdyż do mrozu zawianego z północy dodają lodowce jeszcze i swój własny zapas zimna, promieniejący z olbrzymich obszarów lodu.

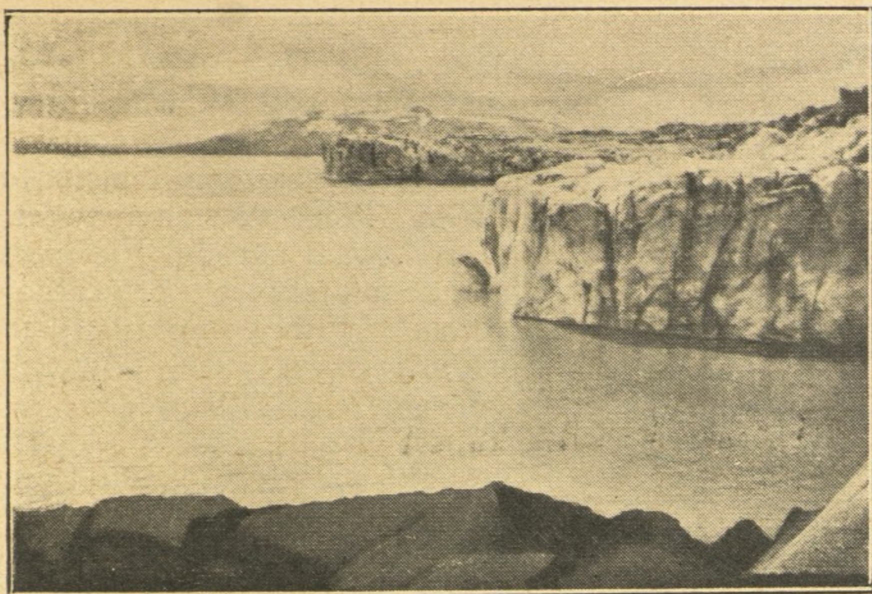
Wieczna wszakże kołowacizna prądów powietrznych nad lodowcami powoduje, iż wilgotna i b. obfita w deszcze aura Islandji odznacza się również niezwykłą zmiennością. Nigdzie na świecie nie widać tak ruchliwych i błędnych chmur, jak na niebie islandzkiem. I nigdzie zapewne słońce nie wyziera tak często i niespodzianie z za fantastycznej kotary mgieł.

Mówiąc to, polegam tylko po części we własnych spostrzeżeniach, zebranych w początkowym i końcowym okresie wyprawy. „Środek" bowiem naszego pobytu na wyspie, który się zbiegł szczęśliwym trafem z wyprawą wgłąb kraju, odznaczał się pogodą iście

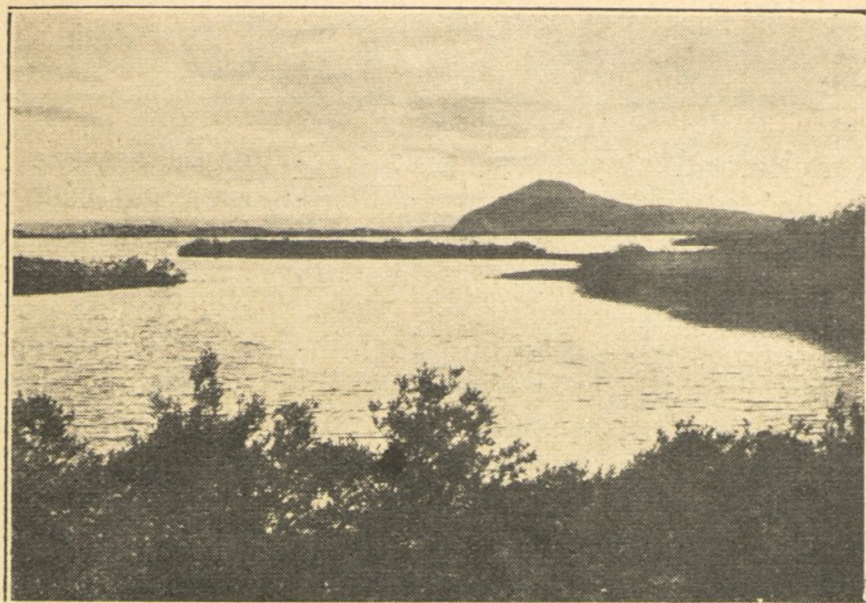


Wulkany śródlodowcowe

*) Linja wiecznych śniegów zniża się na północy do 600 metrów n. p. m. — na południowo - wschodzie dochodzi jednakże aż do 1.200.



Jezioro Hvitárvatn



Stepowo jeziorny krajobraz Islandji

wspaniałą, i aż do Hvitarvatnu bezdeszczną.

Dopiero tu, nad pięknem jeziorem „popsuło się". Już pierwszego dnia pod wieczór, gdy odbyliśmy pierwszą przechadzkę wzdłuż brzegów jeziora, pociągnął ciepławy wiatr, niosąc ze sobą nietylko chmury, ale i ścianę pyłu wulkanicznego, bliźniaczą siostrzycę afrykańskiego hamsinu, czy azjatyckich powietrznych trąb.

Noc spędziliśmy jednak bezdeszczną, lecz głośną poświstem wiatru i głuchemi hukami lodów, odłamujących się od trzona i wpadających w toń jeziora. Tomas znowu zaglądał do wylękłych koni.

Rankiem ujrzeliśmy niebo zawalone czarnemi chmurami, które stanęły w połowie gór, zaciemniając świat i gasząc jasne blaski jeziora i lodów. Wiatr przycichł, powietrze oziębiło się nagle. Chcąc wyprzedzić deszcz czy też śnieżycę, która wisiała w chmurach, wyruszyliśmy pieszo ku spadom lodowca.

Ujście lodowca Jong - Jöhull do jeziora Hvitarvatn, to chyba najpiękniejszy, najbardziej potężny w wyrazie zakątek wyspy. Jeżeli ktoś szuka na Islandji „czystej" Północy, to znajdzie ją tutaj, w skojarzeniu lodowych gór z gładką jak szkło powierzchnią wody.

Powiadają coprawda fachowcy, iż „Północ" jest raczej krainą śnieżnych burz i rozkołysanej fali, a właściwie nawet wiecznej nocy i nocnych zórz. Może!... Ale wizja świata, jeżeli chodzi o naszą wyobraźnię, kojarzy się stale z świetłością dnia i pogodą letniej pory. Słotę i noc słusznie czy niesłusznie wyobrażamy sobie zawsze jednako.

Tu przeto pod zieloną ścianą lodu stajemy onieśmieleni wobec owych granic bytu, które na kuli ziemskiej wyznacza wieczny mróz. Niema również przepaścistej granicy w przyrodzie, jak ta, i nie pamiętam równie wyniosłego zjawiska, jak czoło tego lodowca, uniesione dumnie nad jeziorem. Groźny zwiastun odmiennych praw istnienia, rządzących w białym świecie, — świecie zwolnionego czasu, ograniczonych barw, przytłumionych dźwięków, uproszczonych żywiołów, — wbija się w jezioro z niezwyciężoną potęgą pochodu mas, które idą za nim. Cóż, że raz poraz łamie się z hukiem mur lodowy, cóż, że woda wyjada w nim groty głębokie, — gdy tam na wyżynach narasta wiecznie masa lodu z ową straszliwą niezmiennością jedynego żywiołu świata, który ma swój wymiar absolutny: zimna.

Ferdynand Goetel

NOTATKI LITERACKIE

Ostatnie powieści Blasco Ibaneza

Większą, niż w Europie, poczytnością cieszyły się znane utwory zmarłego niedawno znakomitego pisarza hiszpańskiego w St. Zjednoczonych. W Nowym Jorku też wyszły obecnie trzy ostatnie powieści Ibaneza w tłomaczeniu angielskiem, zanim ukazały się w oryginale hiszpańskim, co nastąpi dopiero za kilka miesięcy. Autor „Czterech jeźdźców Apokalipsy" zatytułował te ostatnie powieści swoje: „W poszukiwaniu Wielkiego Chana", „Rycerz Najświętszej Dziewicy" i „Widmo o złotych skrzydłach". Treścią powieści pierwszej są bohaterskie czyny Krzysztofa Kolumba w Nowym Świecie; druga osnuta jest na tle epopei kapitana hiszpańskiego Ojeda, którego Ibanez uważa za odkrywcę Kalifornji; trzecia zaś przenosi czytelnika w odmienny zupełnie świat: skreśla obraz przyziemnego, prozaicznego trybu życia w Monte Carlo.

Nadto miał już Ibanez plan gotowy do powieści czwartej, ale nie pozwoliła mu jej wykończyć niemoc śmiertelna, która go zaskoczyła w pełni pracy. Zdążył tylko podyktować swemu sekretarzowi szkic tej powieści, którą zatytułował: „Młodość świata", a w której zamierzał wykazać, że, wbrew powszechnemu mniemaniu, świat jest bardzo młody i wre tętniącem życiem.

Nakładca amerykański, który nabył wyłączne prawo wydawania przekładów książek Ibaneza, prowadził już był rokowania z autorem o nabycie i tej, zaledwie naszkicowanej, powieści, przyczem ofiarował honorarjum w sumie 150.000 dol. Wogóle przekłady amerykańskie przyniosły Ibanezowi iście amerykańską fortunę — według jego własnych słów dały mu przeszło miljon franków.

brn

Zmierzch kubizmu

Przed paru tygodniami w paryskiej sali licytacyjnej „Hôtel Drouot" odbyła się sprzedaż wielkiej kolekcji obrazów „nowej sztuki", przeważnie dzieł t. zw. kubistów. Okazało się, że snobizm zblazowanych intelektualistów napróżno silił się na wmówienie ogółowi, że te dziwactwa odzwierciadlają uczucia, porywy i koncepcje „nowej duszy". Wśród wystawionych na sprzedaż malowideł były dzieła, które swego czasu w „Salonie Jesiennym" lub w „Salonie Niezależnych" budziły sensację. Znalazł się nawet „Kunisthaendler" w wielkim stylu, p. L. Rosenberg, który skupywał je w wielkich ilościach, licząc, że zarobi na nich w przyszłości tyle, ile p. Durand - Rucil zarobił kiedyś na impresinistach, w szczególności na Monet'cie. Tym razem rachuby zawiodły. Arcydzieła kubityzmu sprzedawano po bardzo niskich cenach, a nabywcami nie byli amatorzy francuscy, lecz handlarze obrazów z... Berlina i Monachjum. Tam są jeszcze w burżuazji snoby, którym dziwactwo, zwłaszcza *made in Paris*, imponuje. Paryż prędko wyrósł z tych majteczek...

Z TYGODNIA

Tayllerand zwykł był przestrzegać swych podwładnych urzędników przed zbytkiem gorliwości.

— *Et surtoût pas trop de zêle, Messieurs!*

O tej prawdzie zapomniała młoda biurokracja wileńska i wynikł tam zatarg z prasą nader przykry i bardzo niepotrzebny. Nazbyt gorliwi urzędnicy jęli stosować do tamtejszych dzienników, nawet najbardziej dla rządu życzliwych, metodę, która przypomniała żywo praktyki osławionego Jankulja z czasów Hurkowskich. Nie było w tem zapewne złej woli, była tylko niezręczna chęć popisania się gorliwością.

I oto, by zaprotestować przeciw tym zamachom na wolność drukowanego słowa, dzienniki wileńskie urządziły jedyną w swoim rodzaju demonstrację: przez trzy dni posyłały swym czytelnikom białe arkusze papieru, na których wydrukowane były — tu i owdzie — tylko ogłoszenia.

Łatwo odgadnąć, jak będą komentowane przez naszych wrogów te okaleczałe egzemplarze gazet. — Będą dokumentem, stwierdzającym rzekomy despotyzm naszych władz rządowych, będą świadectwem ucisku, pod którym jakoby ugina się niezależna opinja...

Chcąc okazać nadmierną gorliwość, pp. urzędnicy wileńscy źle przysłużyli się rządowi.

— *Pas trop de zêle, Messieurs!*

. . . .

Walkę z prasą a przynajmniej ze znacznym i wpływowym jej odłamem wdały się również zgoła niepotrzebnie teatry miejskie.

Poszło o t. zw. „kartki i bilety wolnego wejścia".

Od dłuższego czasu już prasa wytykała dyrekcji teatrów miejskich, że nazbyt szeroko otwiera podwoje widzom darmowym. Ratusz, będący zwierzchnią władzą dyrekcji, korzystał podobno nadmiernie z tych dobrodziejstw. Za przykładem Ratusza szli wszyscy. Ten stan rzeczy odbijał się ujemnie na dochodowości teatrów, szkodził tudzież ich interesom moralnym, wiadomo bowiem, że widz, który nie płaci za bilet wstępu, bywa najostrzejszym, nigdy niezadowolonym krytykiem.

Ze stałych biletów wolnego wejścia i „kartek" korzystały również redakcje. Trzeba przyznać jednak, że tutaj sprawa przedstawiała się inaczej. Prasa warszawska świadczyła zawsze i stale teatrom wielkiej wartości przysługi, umieszczając bez żadnych opłat nadsyłane „wzmianki", reklamując widowiska bardzo gorliwie i bezinteresownie. Świadczenia ze strony teatrów w postaci „kartek" i biletów wolnego wejścia były niewspółmierne z tem, co teatrom dawały dzienniki.

Zarząd teatrów miejskich wprowadził obecnie nader znaczne utrudnienia w wydawaniu „kartek". — Bardzo słusznie. Lecz „sanacja" nie ograniczyła się do osób, które nigdy nie miały nic wspólnego ani z teatrem, ani z dziennikarstwem i literaturą: dotknęła w równej mierze redakcje dzienników. Cofnięto im stałe bilety wolnego wstępu, — wstrzymano „kartki". W redakcjach zawrzało. — Takaż to wdzięczność za nasze wysługi? Część prasy postanowiła bojkotować teatry miejskie, nie umieszczać żadnych wzmianek (niektóre dzienniki nawet repertuaru).

Zatarg wybuchł pod nieobecność dyr. Artura Śliwińskiego, który wyjechał na parę tygodni za granicę. Dla teatrów miejskich przedstawia on niewątpliwie niebezpieczeństwa, każde widowisko bowiem, choćby najlepsze, wymaga reklamy. Na razie korzystają z zatargu teatry p. Szyfmana, który potrafił analogiczną reformę przeprowadzić w zgodnem z redakcjami porozumieniu.

. . . .

Za dużo monopolów! Wolna emulacja coraz bardziej skrępowana. Coraz częściej obywatel polski natyka się na twardą, kamienną ścianę nie do przebycia: to przywilej tak się odgrodził od współzawodnictwa.

Teraz Rada dla spraw Kultury Filmowej protestuje przeciw monopolowi, jaki udzielony został Polskiej Agencji Telegraficznej: dano jej wyłączne prawo dokonywania zdjęć filmowych z wszelkich obchodów i wydarzeń „oficjalnych". — Wskutek tego, w dniu imienin marszałka Piłsudskiego nikt nie mógł „kręcić", prócz operatorów Pata!

W memorjale, zgłoszonym z tego powodu do Prezydjum Rady Ministrów, Rada dla spraw Kultury Filmowej zwraca uwagę, że choć słusznem jest dążenie władz rządowych do podniesienia poziomu tego rodzaju zdjęć, to jednak udzielanie komukolwiek monopolu sprzeczne jest z zasadą wolności „słowa filmowego", która jest tem samem, co wolność prasy. Monopol taki mógłby zatamować rozwój filmowej kultury operatorskiej, w wielu wypadkach wpłynąłby ujemnie na wartość dokumentalną i historyczną zdjęć, które powinny tworzyć żywe archiwum narodu. Nie można odbierać inicjatywie prywatnej i społecznej prawa do utrwalenia najdonioślejszych przejawów życia narodowego i państwowego.

Protest ten podpisał Andrzej Strug, jako prezes Rady dla Spraw Kultury Filmowej.

Dodać należy, że ta manja monopolowa skazana jest z góry na niepowodzenia. Bo właściciele teatrów świetlnych zamierzają nie eksponować zdjęć filmowych Pata, dopóki będzie on korzystał z wyłączności. Cóż z tego więc, że posiadacz monopolu będzie dokonywał zdjęć z ważnych nawet wypadków, skoro te zdjęcia nie ukażą się na ekranach teatrów świetlnych, — przynajmniej poważniejszych i znaczniejszych!

Należałoby zawrócić...

. . . .

Przybył do Warszawy chór kozaków dońskich i daje koncerty. Nic w tem niema złego. Przyjeżdżają kwartety czeskie, śpiewacy i muzycy najróżniejszych krajów. — Dlaczegóż nie mieliby przyjechać kozacy?

Lecz gdy inne tego rodzaju chóry spotykają się z dość chłodnem przyjęciem garstki melomanów, występy kozaków obudziły taki nagminny entuzjazm, jakgdyby witano marnotrawnych synów. Sala Filharmonji wypełniła się ponad brzegi. Turbowano się o miejsca. A gdy mołojcy pojawili się na estradzie, publiczność wpadła w szał radości. I to jaka publiczność! W pierwszych rzędach aż lśniło od wielkich rodowych nazwisk! Śmietanka towarzystwa! Ta, której łatwo nie zwabi do sali koncertowej muzyk lub śpiewak polski... W dalszych rzędach... no, w dalszych rzędach przeważał żywioł semicki. Do kata, skądże u żydów ten sentyment do kozaków? Mało ich tłukli nahajkami przy każdej sposobności? Mego ojca w 63 roku rozbestwione kozactwo już prowadziło na gałąź i tylko przytomność i odwaga matki uratowała mu życie. Ileż to takich morderstw popełniły te dzikie hordy! Oczywiście, członkowie chóru, który bawi w Warszawie, nic temu nie winni. Ale żeby ich widok wywoływać miał wzruszenie i radość, żeby ich ponure pieśni nie budziły okrutnych wspomnień niewoli!... Zaiste, dusza ludzka jest bardzo skomplikowaną machiną!

skrz.

„Znaki ogniste"

Powieści p. Jana Rogali stały się sensacją nieprzewidzianą. Pierwszy tom trylogji p. t. „Zarzewie" został wyczerpany w przeciągu kilku tygodni, a są wskazówki, iż stanie się to samo z tomem drugim p. t. „Płomień", wydanym przed kilku dniami (nakł. Gebethnera i Wolffa). Czemu przypisać taki sukces książki, w której pierwiastek erotyczny stanowi raczej mirażową przynętę dla czytelnika, zmuszonego dobierać się do efemerycznych tajemnic alkowy poprzez długie dyskusje na temat polskiej i obcej rzeczywistości powojennej? Zdaje mi się, iż zadecydował o takim wyniku oryginalny stosunek autora do tematu.

I nasuwają się odrazu analogje z niedawnej (ale jakże już dawnej!) przeszłości, gdy Weyssenhoff wystąpił na widownię literacką ze swym „Podfilipskim". I tam i tutaj w trylogji p. Rogali uderza najwięcej dojrzałość tonu i wytworność stylu. Wieści głoszą, że pod pseudonimem *Rogali* ukrywa się znany dyplomata i działacz społeczny, który ma poza sobą długi szereg lat pracy i doświadczeń życiowych. Weyssenhoff także odezwał się poraz pierwszy dość późno i odrazu rozporządzał bogatym materjałem życiowym. Tylko szeregowanie przeżyć życiowych jest u każdego z pisarzy odmienne: Weyssenhoff zaczął od cieniutkiej ironji i, pod wpływem rosnącego powodzenia, zabrnął w patrjotyczny dydaktyzm różnych „dni politycznych"; p. Rogala zaś stanął odrazu w samym środku naszych „dni politycznych" i ukazał fizjonomję zdecydowanego idealisty, ważącego zagadnienia młodej państwowości polskiej.

Od swoich poprzedników literackich nauczył się p. Rogala niektórych wad narracyjnych a przedewszystkiem — niedomagań budowy. Na takie dywersje, jak w „Płomieniu", a zwłaszcza w „Zarzewiu", mógł sobie pozwolić bez obawy tylko olbrzymi talent Żeromskiego. Jeżeli te dywersje nie nużą, jest to zasługą intelektu autora, umiejącego rozmawiać mądrze i subtelnie, umiejącego przesuwać przed czytelnikiem różnorodne środowiska i różnorodne zagadnienia. A najpierw pogląd autora na istotę „romansu" powieściowego. Wypowiada go jedna z postaci „Płomienia": „Literatura od stuleci, naprzód w poezji, a potem i w prozie, karmi nas tematami nic wspólnego z prawdziwem życiem nie mającemi, zawiłościami duszy kobiecej, jej niezrozumieniem przez świat zewnętrzny, to jest, przez mężczyznę. Dawniej literatura łączyła przynajmniej z tą gloryfikacją miłości zachętę do bohaterstwa: heros kochał się i w egzaltacji miłosnej znajdował podnietę do wzniosłych przedsięwzięć, lub do wielkiego poświęcenia... W każdym razie coś się działo za sprawą różnych cierpień miłosnych, niebardzo mądrze, ale się działo. Następnie już coraz mniej: tylko manjacy „romansu" zapisywali całe tomy ku utrapieniu dzisiejszego pokolenia w okresie szkolnym. Lecz jeszcze było to wywyższenie sentymentu. Później dobraliśmy się do tajemnic alkowy i tą strawą żyjemy po dziś dzień, przenosząc wszelkie skutki przesycenia tak zwanym „kultem kobiety"...Dawniej mówiliśmy—i to przez usta naszych największych — że miłość nikomu z zakochanych nie wybacza tego, że kocha, a później już uogólnialiśmy, i wszyscy już mają komplikacje na tem tle, chociaż o prawdziwe uczucie coraz trudniej. Wytworzyła się wiara w konieczność nieładu sentymentalnego, zgłębianie fikcyjnych uczuć, i wy, młodzi, doczekacie się jeszcze swoistego Kanta z „krytyką czystej i praktycznej miłości". A przecież jakiekolwiek codzienne zagadnienie życia, pierwsze z brzegu — praca robotnika, albo wysiłek intelektu na drodze poznania, chociażby niedoskonałego — przedstawia nieskończenie więcej tematów literackich, niż nasze liryczne nieporozumienia".

Ten program nowego typu powieści rozwinął p. Rogala świadomie w „Zarzewiu", ale nie zdołał uporać się tam z nadmiarem nasuwających się problematów. W „Płomieniu" odzyskuje swe prawa „nieład sentymentalny", wyłożony również świadomie, jako faza przejściowa, prowadząca bohatera do „Odkupienia". Gieralt, działacz ekonomiczny w odrodzonej Polsce, zajmujący najwyższe stanowiska państwowe, wnosi do pracy wielkie zdolności obok niezupełnie wydoskonalonej woli. Autor analizuje czujnie wszystkie rysy na jego czynie społecznym i politycznym, nie ujawnia jednak istotnych przyczyn jego załamań się i rozterek. Gieralt wpada w „nieład sentymentalny", to jest kocha się przez cały tom w pięknej Włoszce, Beatryczy Sfalco, a w zakończeniu, po krótkiej chwili „szczęścia", wraca z zapaleniem mózgu do Polski, gdzie zapewne ujrzymy (w trzeciej części powieści) jego wyzwolenie i oddanie się całkowite służbie społecznej. Bez tej trzeciej części nie można mieć jeszcze dokładnego wyobrażenia o zamiarach, ani też o ideologji autora. Z różnych napomknień, djalogów, refleksyj i insynuacji opowiadania wnosić należy, że p. Rogala widzi w dzisiejszych działaczach polskich, we wszystkich niemal dziedzinach, pokolenie przejściowe. „Młodzi wejdą w życie przez drogę, wyrównaną wysiłkiem poprzedników, zdrowi na ciele i umyśle, bez nadszarpanych nerwów i przerostu indywidualizmów, będą znali wartość i niezmienność praw moralnych, które rządzą światem, i nieczuli na zwodnicze ogrójce przydrożne, zadania swoje spełnią w ordynku karnym i twórczym... Po dzisiejszem pokoleniu pozostanie tylko orszak błędów i znaki ogniste na niebie... Ślady płomienia".

Niewesoła perspektywa dla nas współczesnych — takie *mane — tekel — fares*... P. Rogala wierzy w rasową intuicję młodych, którzy stworzą nową Polskę samorodnie i utrwalą w sobie „wartość i niezmienność praw moralnych". Kto wie, może „metody sentymentalne" Gieraltów i groteskowe pomysły Rokoszów nie odegrają nawet roli „znaków ognistych na niebie"? — Nie wyciągajmy jednak wniosków przedwczesnych: oczekujmy ideologji „Odkupienia".

Tymczasem przyjrzyjmy się na chwilę obliczu samego autora. Widział wiele, poznał wiele i zastanawiał się głęboko nad istotą życia polskiego. To jest tajemnica chętnego z nim obcowania inteligentnego czytelnika. Akcja „Płomienia" odbywa się poza krajem: w Paryżu, w Wenecji i w Rzymie. P. Rogala wszędzie jest śród ludzi i widoków znanych nam dobrze, nie wdaje się więc w ciężkie, banalne opisy. Z obcych krajów i stosunków bierze tylko tyle, ile potrzeba do wątku powieściowego; krótką charakterystykę powojennych ludzi i stosunków. Stąd — pewność rzutu w malowaniu środowisk. Ludzie powieści p. Rogali nastawieni są wszyscy na górne tony djalogów. Niekiedy rozmawiają z wyrafinowaną, bardzo „literacką" dystynkcją. Ale ta wyszukana forma, rażąca niekiedy brakiem prostoty, nie odbiera im prawdy uczuciowej. I to jest cechą wybitną powieści p. Rogali. Delikatna np. ironja, jaką autor otoczył postać dra Rokosza, „premiera", który nie dorósł do wysokości zadania, jest objawem wielkiego taktu i wysokiej kultury. A wykład wzajemnego do siebie stosunku wszystkich postaci działających stanowi niewątpliwe świadectwo talentu, który łatwo wobec samego siebie zastosuje motto powieści: „Nie panuje nad płomieniem, kto chce".

J. L.

„Wielka afera odrodzenia i nowego życia"

Na marginesie nowej powieści Andrzeja Struga: „Fortuna kasjera Śpiewankiewicza".

Nic tak nie demoralizowało naszego życia społecznego w pierwsze lata niepodległości, jak inflacja. Zatruła ona radość odzyskanej wolności. Przypięła skrzydła tylko rycerzom czarnych giełd. Uczciwy człowiek musiał się ciężko porać z biedą. Patrzył przerażonemi oczami na bachanalję wszelkiej kategorji oszustów, łajdaków, nicponi, żerujących na pieniądzu Rzeczypospolitej.

Czasy te pamiętamy wszyscy.— Paradoksalność stosunków prawnych na tle gospodarczem sięgała w najtajniejsze wiązadła życia społecznego. Nie było klasy, warstwy ludzi pracujących, tak fizycznie, jak i umysłowo, by nie uginała się pod nadmiernym ciężarem tego dzikiego zjawiska ekonomicznego. — Prosperowali tylko waluciarze i wszelkiego gatunku naganiacze tych bankowych kombinatorów. — Różnicę płaciła w trudzie i znoju praca. Największy haracz zapłaciła inteligencja, jako niezorganizowana i niezdolna do gwałtownych metod w obronie swoich interesów.

Zjawisko to dało materjał beletrystyczny znanemu i cenionemu powieściopisarzowi — Andrzejowi Strugowi. Jego utwór p. t. „Fortuna kasjera Śpiewankiewicza" opiera się o te potworne, paradoksalne motywy, pokazuje, jak w zwierciadle, przekrój naszego życia z tych smętnych, inflacyjnych czasów. — Architektura tej powieści wyróżnia się wśród beletrystyki polskiej organizacją fabuły. Nie bieg wydarzeń, lecz autor powoduje przebiegiem wypadków. Jest to, technicznie rzecz biorąc, w powieściopisarstwie naszem odwrócenie metody artystycznej. Tak pracują tylko bardzo wytrawni i kulturalni dramatopisarze. Strug osiągnął przez tę metodę ujęcia materjału artystycznego niezwykłą spoistość i natężenie wizji. Jest on jedynym dziś w Polsce beletrystą, umiejącym grać na tak wyciągniętych strunach nerwowości swoich bohaterów. Pogrąża bohatera swego w doświadczalne otchłanie stanów psychologicznych, idących po krawędzi obłędu. Znajduje siły do walki z rosnącą, potworną, koszmarną udręką. Czy będzie umiał znaleźć zwycięstwo?

Strug nie daje na to odpowiedzi. Zostawia kasjera Śpiewankiewicza ze skradzionemi dolarami i z przeświadczeniem, iż „nowy, nieznany człowiek wkroczył w nieznany świat". Pomaga mu okoliczność, iż przyjaciele Ady w nocy rozpruli kasę, nie dowierzając mu. Ruda sprzedawczyni amerykańskich papierosów powiadomiła ich o stanie kasy nie przypuszczając, iż Śpiewankiewicz, zwykły kasjerzyna, zdobędzie się na odwagę kradzieży. Ubrdał sobie przecież ten starzejący się, czterdziestosiedmioletni mężczyzna, omotany szałem namiętności, że jako Rudolf Pontius wróci do ojczyzny, by rzucić rządowi polskiemu „nędzną stumiljonową dolarową pożyczkę". Ukradł



Andrzej Strug, znakomity beletrysta, przeszedł do Senatu z listy P. P. S.

on przecież... „dla protestu przeciwko zbrodniom starego kapitału. Pracą życia skradzione pieniądze pomnożył więcej, niż tysiąckrotnie i teraz oddaje narodowi wszystko: miljon dolarów".

Jest to jedna z korowodu jego potwornych halucynacji. Ukradłszy bowiem pieniądze, zawlókł się z niemi zaledwie do Brwinowa. Po nocy tragicznych wizji, ocierający się o bohaterstwo tworkowskich mieszkańców, wrócił pod własny dach, a rankiem stawił się w banku, nie uroniwszy po drodze ani grosza. — Skradzione dolary poprowadziły go pod gałąź, na której o mało nie zawisnął. W rozmowie z Ghostem wyznaje on, w jakim celu popełnił kradzież:

„Ukradłem równie dobrze i dla samego siebie, chcąc się odrodzić"..

Więc mu odpowiada ten fantastyczny, zwarjowany mandolinista:

— „To się panu nie uda, nikt się jeszcze nie odrodził przez bogactwo".

W słowach tych tkwi moralne ujęcie zagadnienia, przed którem stanął Śpiewankiewicz. Kradzież była dla niego przecież „fantastyczną baśnią niewolnika, marną pociechą w czarnej niedoli, marzeniem ściętej głowy, dziecinnem głupstwem siwiejącego pechowca".

Powieść Andrzeja Struga wygląda na pierwszy rzut oka, jak wyimek z kroniki kryminalnej. Takie tematy brał na warsztat wielki artysta słowa T. Dostojewski i czynił z nich arcydzieła przenikliwości głębi duszy ludzkiej. Strug nie zawahał się pójść tą drogą. Czyni to zaszczyt jego ambicji pisarskiej.

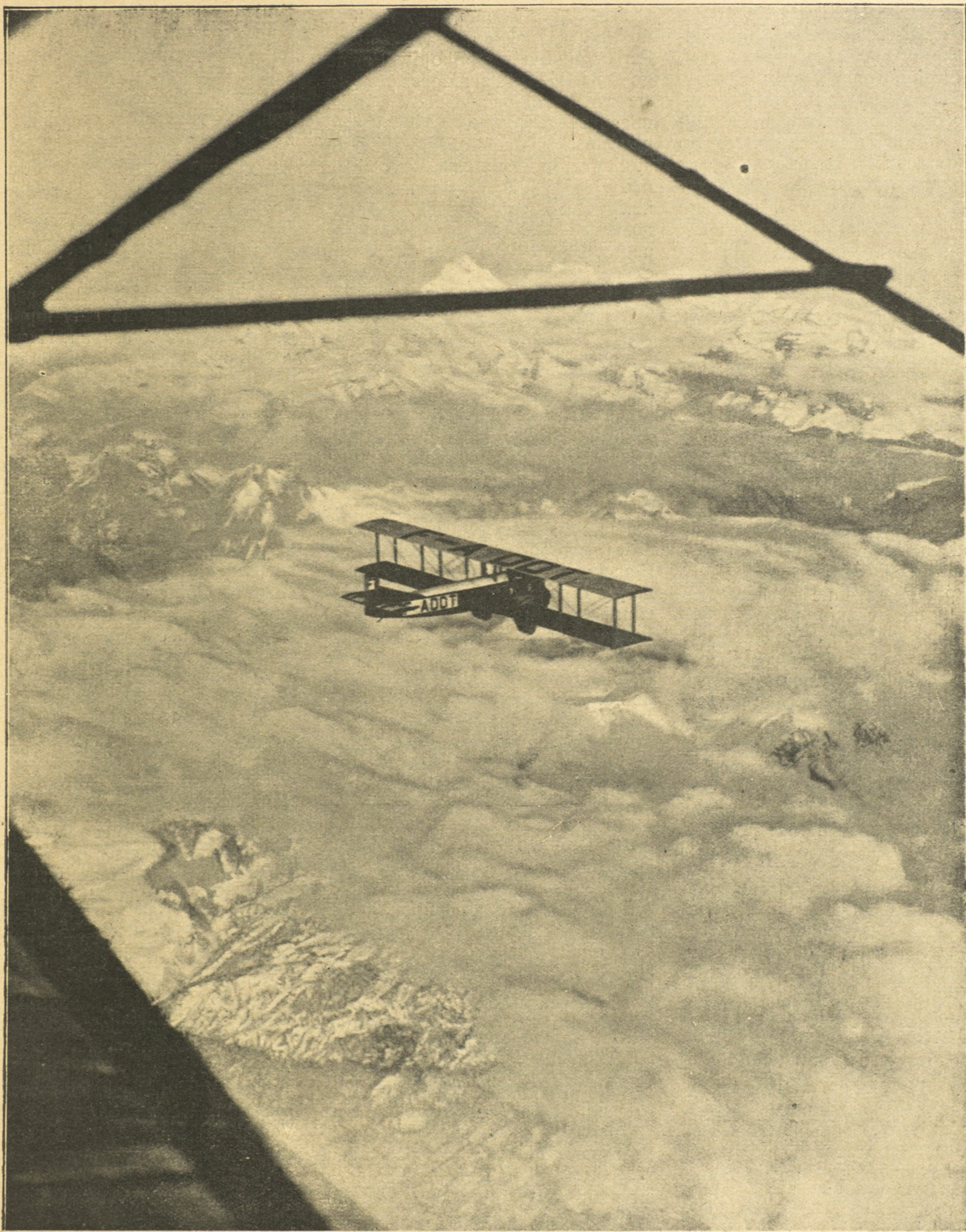
Pierwsza część konstrukcji powieściowej „Fortuny kasjera Śpiewankiewicza" obfituje w sceny kontrastowe: obok widziadeł, snuje się kalejdoskop naturalistycznych, jaskrawych obrazów. Mocno narysował autor zmysłowe opętanie Śpiewankiewicza. Postać Ady ukazuje się w linjach przekonywujących i to tembardziej, że urok jej ciała działał na człowieka, na którym „mściły się długie lata ascety". Ona to na rozkosznej nici nadziei poprowadziła go w otchłań rozterki. Niełatwo przyszła mu ta kradzież. Ocknął się w towarzystwie różnego gatunku rzezimieszków. Strug przesunął przed czytelnikiem zróżnicowaną galerję tych przyjaciół Ady. Panowie Mijanowscy, ojciec i syn, w tym zespole bandyckim znaleźli niezłe miejsca. Bez nich to przecież, „gdyby się był puścił (Śpiewankiewicz) na wielką aferę odrodzenia i nowego życia, zginąłby marnie".

Nie skorzystał jednak z ich oferty, jak pominął inne figury z pod ciemnej gwiazdy. Uciekł z pieniędzmi sam. Po całonocnej walce z koszmarami wrócił do banku, by je położyć do kasy, skąd wziął. Rozprucie kasy, awantury policji z właścicielami banku, śledztwo doraźne, wścibstwo prasy, zamęt dookoła banku zatrzymały tę decyzję Śpiewankiewicza. Pracował dnia tego, jak zwykle, do godziny 3-ej i nowa możliwość zaświtała w jego skołatanej głowie. Zatrzyma skradzione... złodziejom bankowym dolary. Towarzystwo bankowe jest niewiadomo czy lepsze od zespołu przyjaciół Ady.

Nowa ta powieść Andrzeja Struga jest ciekawa, jako problem społeczny; niemniej interesuje jako zagadnienie artystyczne. W naszej twórczości beletrystycznej współczesnej zajmie ona miejsce poczesne. Zwrócić też należy uwagę na skondensowane, a równocześnie giętkie i barwne słowo Struga. Takich mistrzów języka nie mamy wielu.

Eustachy Czekalski

NOWE WYNALAZKI — NOWE WZMOŻENIA: NOWOCZESNA ALPINISTYKA



Miast trudnych turystycznych wycieczek na szczyty Alp, organizowanych dużym kosztem z przewodnikami, zapasami żywności, noclegami, teraz łakomy przygód miłośnik gór ma do dyspozycji aeroplan. Na Mont Blanc dostać się może w kilkanaście minut.

Propaganda kultury

Pan Edward Herriot, z pochodzenia profesor filozofji i retoryki w liceach francuskich, następnie profesor w uniwersytecie lyońskim, później radny i mer Ljonu, senator, deputowany, minister czasu wojny, od wyborów 1924 r. szef rządu i minister spraw zagranicznych, współautor Protokułu Genewskiego, po upadku własnego rządu wstąpił, jak pamiętamy wszyscy, do wielkiego gabinetu premjerów p. Poincarego i został w nim ministrem oświaty.

Trzeba było lat dwudziestu pięciu, aby przebyć tę długą drogę służby publicznej, drogę męża stanu, o r a d y k a l n e m, jak mówią we Francji, nastawieniu, drogę nietylko długą ale i pełną przeszkód, załamań, niebezpiecznych „zakrętów". Drogę wielkiej nauki i doświadczenia wszechstronnego. Dwadzieścia pięć lat temu był p. Herriot nauczycielem i popularyzatorem filozofji i literatury francuskiej, pisał dużą książkę o „Pani Recamier i jej przyjaciołach", wygłaszał piękne i pełne powodzenia a uroku mowy, bardzo radykalne, chwytające za serce robotników na przedmieściach fabrycznych Ljonu i całego porzecza Rodanu, pisał wiele do republikańskich, doskonale zresztą redagowanych i bardzo rozpowszechnionych dzienników. Działalność ta otworzyła przed nim nietylko gabinet mera wielce potężnego i bogatego miasta, ale zbliżyła filozofa do bardzo skomplikowanych zagadnień socjalnych. Pan Herriot ku zdziwieniu wszystkich przeciwników politycznych, którzy go jako nauczyciela i retora zwalczali, dowodząc, że niema kwalifikacji do prowadzenia praktycznej, przyziemnej a tak nieskończenie ważnej pracy samorządowej — zamilkli. P. Herriot okazał się mężem praktycznym, metodycznym, organizatorem i — oszczędnym.

Gdy przyszła wojna, Ljon był pierwszym miastem Francji, które w najkrótszym czasie umiało zorganizować pomoc dla rodzin żołnierzy, pomoc dla żołnierzy na froncie, pomoc dla inwalidów, szkoły dla inwalidów bezrękich, beznogich, niewidomych. Mer potrafił całe miasto zaprządz do pracy: starców, kobiety, bezrobotnych. Ratusz ljoński stał się olbrzymim ulem pracy pożytecznej, a najszlachetniejszej. Herriot stał się sławnym na całą Francję organizatorem i ta sława przyniosła mu pierwszy w życiu mandat ministra od „zaopatrywania". Niedługo go piastował. Z „pustego i Salomon nie naleje" i ruchliwość, najlepsza wola p. Herriota nie potrafiły węgla angielskiego na czas do Paryża sprowadzić. Paryż marzł. Parlament był niespokojny. Pewnego dnia Herriot z rozpaczą w głosie wołał w Izbie: „panowie rozumieją, że gdybym tylko miał skąd, przyniósłbym na plecach węgiel do stolicy". Spoglądali na szerokie po nad zwykłą miarę barki p. Herriota i..... przyjęli jego dymisję. Mer Ljonu usunął się do swego ljońskiego ula i pisał i wygłaszał liczne odczyty. Z odczytów tych urosły dwie bardzo ciekawe książki. Jedna nosiła tytuł: *Créer*! (Tworzyć!), druga *Agir!* („Czynić!"). Obie wyszły u Payot'a i odbiły się żywem echem w całej Francji. P. Herriot nie ograniczał się do pomocy dla ofiar bezlitosnej rzezi wojennej. Myślał o przyszłości. Z tej wojny musi narodzić się inna, nowa, odmłodzona Francja i my ją *stworzymy*. Aby ją stworzyć, musimy działać, czynić, musimy mobilizować całą energję narodową, zmobilizować wszystkie siły Francji: człowieka i jego pracę, naturę i jej bogactwo; musimy przełamać obojętność rentiera, jego gnuśne a oszczędne samolubstwo, egoizm wielkich kapitalistów i finansistów! Nie wszystko u nas jest dobre. Zapatrzyliśmy się w przeszłość niby żona Lotowa, wyprzedzają nas narody na polu organizacji pracy, Francuz wszystko wynajdzie pierwszy, ale wynalazki jego eksploatuje Niemiec albo Anglik....."

„Rośnie człowiek wraz z celem jego" — mówił wielki poeta i pan Herriot, głosząc takie hasła, wyrastał ponad kominy Ljonu. Obejmował potężnemi ramionami swemi — Francję. Wchodził do rodziny mężów stanu. Likwidował przeszłość, którą wyobrażał mało szczęśliwy w posunięciach swoich p. Millerand, wprowadzał do Izby Deputowanych 1924 r. nowy zaciąg sił młodych i radykalnych. Nie wątpił, że nie jest cudotwórcą i spostrzegł się prędko, że nie potrafi dokonać tego, co było najpierwszym jego obowiązkiem, jako szefa rządu: doprowadzić finanse francuskie do porządku! Męczył się całe dwa lata, zmieniał ministrów skarbu, ustępował szefostwo rządu na rzecz takich jak, Caillaux, finansistów w przypuszczeniu, że ten finansista potrafi przełamać opór, niechęci, strach finansjery przed rządem radykalnym. Czasu wojny, nie umiał węgla sprowadzić z Newcastle do Paryża, w r. 1926 nie potrafił zniewolić p. Horacego Finally, dyrektora Banku „de Paris et des Pay-Bas". Pamiętam, jak pewnego wieczoru słyszałem pana Herriota wołającego w salonie pani Ménard-Dorian: „umieliśmy zdobyć potęgę polityczną, nie umieliśmy zdobyć potęgi ekonomicznej!" Obecni na sali radykali protestowali. Uważny słuchacz, zastanawiający się nad tem, co słyszał w salonie, kędy zbierają się szczyty radykalnej opinji francuskiej, zrozumiał, że p. Herriot jest zniechęcony niepowodzeniem, że czuje, iż jego najmocniejsze ramiona, jego bicepsy atlety nie potrafią wstrzymać spadku franka.....

Pewnego dnia świat dowiedział się, że prezydentem rady ministrów jest p. Poincaré, a pan Herriot w tem t. zw. wielkiem ministerjum zadowolił się teką ministra oświaty. Hałasu było niemało. Skrajna lewica radykałów wyparła się ubóstwianego, do niedawna, wodza. W radzie miejskiej Ljonu socjaliści zażądali jego dymisji. Zdaje się jednak, że mu wszyscy powoli przebaczyli odstępstwo nietyle zasadnicze, ile ze stanowiska konieczności państwowych — oportunistyczne. Od tej chwili p. Poincaré stabilizuje franka, mając po stronie swojej w Izbie bardzo wielką i rzadką większość (350 przeciwko 170 głosom), zaś p. Edward Herriot jest ministrem oświaty.

O tym właśnie pragniemy tu dziś pomówić z okazji świeżo ogłoszonego tomu jego „Szkiców" (*Esquisses*, nakład Hachette'a 1928 str. 242). Należy nam przeprosić czytelnika za ten przydługi nieco wstęp, był on jednak konieczny dla zrozumienia książki i jej autora. Jest to, jak gdyby, szkicownik, ale tylko „jak gdyby". Książka zawiera 22 „szkice", to znaczy przemówienia ministra wygłoszone w ciągu ubiegłych kilkunastu miesięcy w różnych okazjach, w których pan Herriot przemawiał, jako przedstawiciel rządu. Czego tu niema: rocznice uczonych najpierwszej miary (Berthelot, Laennec, Villemin), literatów (Zola, Richepin, Cladel, Sarcey, de Flers, Verhaeren), teologów (Bossuet), muzyków (Massenet). Jest mowa o Rodin'ie, o odbudowaniu katedry w Reims, o muzyce francuskiej (na wystawie we Frankfurcie), o Bethowenie (w Wiedniu), o Panteonie literatury, są i rzeczy ogólne: mowa ministra oświaty na temat „państwo a oświata", wygłoszona w Izbie Deputowanych 24 listopada 1927 r., mowa o nauczaniu technicznym, o własności literackiej, o

stosunku nauk ścisłych i filozofji. Treść różnorodna, bogata i obfita, rozlewna, jak życie *męża stanu w państwie nowoczesnem.*

Pierwsze wrażenie, jakie od książki tej odbiera czytelnik, zamknie się w okrzyku: jakże wszestronnym jest ten umysł francuskiego ministra! Nie darmo był p. Herriot profesorem filozofji i literatury, nie darmo wyszedł z przesławnej paryskiej Szkoły Normalnej. Mówi o Zoli, jak najprzedniejszy krytyk literacki, mówi o Massenecie, o Betowenie jak, gdyby był panem Bellaigue z Revue des Deux Mondes, tylko że mówi o muzyce nie jak pędant od kontrapunktu, jeno jak filozof kultury, który stara się zrozumieć indywidualność genjusza na tle czasu i w przestworzu ludzkości. Bez wzruszenia czytać szkicu o Bethowenie nie można. I łatwo wyobrazić sobie, jak potężne musiał uczynić wrażenie w Wiedniu śród ludzi, którzy (i o ile) rozumieli przedziwnie piękną prozę ministra francuskiego.

Drugą cechą tych szkiców jest ich charakter osobisty. Ministrom często piszą mowy ich właśni urzędnicy: dyrektorowie i naczelnicy odnośnych wydziałów. Minister delegowany, jako przedstawiciel rządu i przewodniczący uroczystości, wyjmuje w pewnej chwili spisany na maszynie elaborat i odczytuje jedną kartkę za drugą. I p. Herriot musiał mieć sekretarzy, którzy mu do jednego czy drugiego odczytu zbierali materjały: daty i cytaty, może ustęp czy rozdział z tej czy innej książki. Ale całość każdego z tych szkiców jest dziełem p. Herriota. I dlatego wyjść one mogły pod jego nazwiskiem, objęte jedną okładką, nazbyt skromnie dźwigającej tytuł „Szkicownika"! Jedna myśl była im matką, jeden talent literacki, jedna wola.

Po trzecie: przemówienia takie, powtórzone w druku, oddać mogą nietylko samemu ministrowi ale i sprawie, której broni, liczne i poważne usługi. Świadczą dowodnie, że ministerstwo oświaty nie jest tylko—biurokracją, jest oraz myślą, twórczością, natchnieniem. Stoi na straży największych dóbr narodowego a może i ludzkiego ducha, poucza o skarbach tego dorobku, głosi ich chwałę nietylko ku pamięci współczesnych Francuzów ale i — świata, ale i ludzkości całej; tej mianowicie, która umie czytać po francusku.

Notatka nasza niejednego zachęci czytelnika do przejrzenia uważniejszego książki p. Herriota. Może znajdzie się i na biurku ministra polskiego. Jakżeby dobrze czynili ci ministrowie, gdyby mowy swoje ogłaszali drukiem nietylko w czasopismach urzędowych, ale w książkach i broszurach. Jeden pan Aleksander Skrzyński dbał o szacunek dla słowa swego i chronił je od zapomnienia przy pomocy welinu i cycera! Mowy ministrów Rzplitej nietylko ich sławie służą przemijającej, jak wszystko ludzkie. Służą wielkim celom. Zrozumiał to p. Herriot i przykład jego powinien kolegów jego nad Wisłą do szlachetnej zachęcić emulacji!

Stanisław Posner

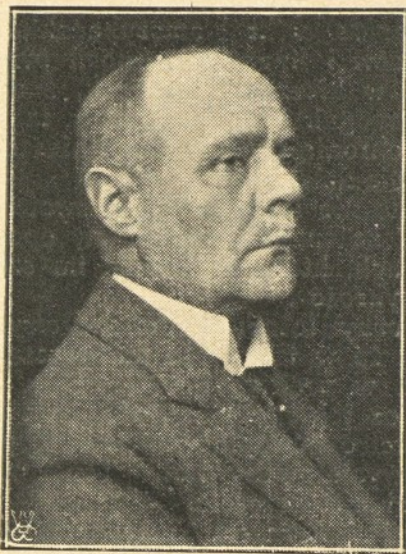
O prawie polskiem — w Finlandji

Dr. Włodzimierz Sokalski, b. naczelnik wydziału prasowego Prez. Rady Ministrów, obecnie sędzia Sądu Najwyższego, dzieli się wrażeniami swemi z pobytu w Helsingforsie:

Polska, wierna w polityce dążeniu do utrwalenia pokoju, stale szuka w innych dziedzinach życia łączności z obcymi, stara się stworzyć i rozwinąć ją także w dziedzinie prawa. — Rzucono niedawno myśl ujednostajnienia w państwach europejskich materjalnego prawa karnego; — Polska była pierwszą, która z dobrym skutkiem odbyła w swej stolicy (listopad 1927 r.) w tej sprawie międzynarodową konferencję. — Dla podobnych celów powołano również do życia komisję współpracy prawniczej międzynarodowej, działającą przy M. S. Z. pod przewodnictwem prof. Emila St. Rappaporta.

Z jej ramienia i na jej zaproszenie znalazłem się w początkach lutego b. r. w Helsinki (obecna nazwa urzędowa stolicy Finlandji — zam.: Helsingfors), by wypowiedzieć na Uniwersytecie tamtejszym dwa wykłady o nowem prawie polskiem. Dn. 7 lutego miałem odczyt o części ogólnej naszego przyszłego kodeksu karnego, a dn. 10 lutego o obowiązującym już nowym ustroju sądownictwa i o nowym kodeksie postępowania karnego. Konferencje te zaszczycił między innymi obecnością swoją minister spraw zagranicznych p. Hjalmar Prokopé, cieszący się dużą sympatją i popularnością u nas w Warszawie, gdzie do niedawna przebywał jako poseł finlandzki.

Podniosłą chwilę zawdzięczam ministrowi sprawiedliwości, panu Malinen,



Torsten Henryk Malinen, min. sprawiedliw.

który imieniem Rządu raczył uczcić prawnictwo polskie i myśl współpracy z niem w pięknem przemówieniu, na uroczystym bankiecie. W podobnym duchu przemawiał (po angielsku) im. Uniwersytetu p. prorektor Otto Hjalmar Granfelt, wskazując na zbliżenie się Finlandji i Polski w przeszłości, zwłaszcza za czasów Katarzyny Jagiellonki, żony króla szwedzkiego Jana III., przeznaczonego pierwotnie na udzielnego władcę Finlandji.

Gościnę na Wszechnicy i wzorowe zorganizowanie odczytów zawdzięczam znakomitemu kryminologowi finlandzkiemu, b. premjerowi, obecnemu rektorowi dr. Antti Tulenheimo.



Dr. Antti Tulenheimo, rektor uniwersytetu, b. prezes ministrów

Zewsząd dużo dawano mi dowodów życzliwości i sympatji dla Polski i dla jej prawnictwa. Przekonałem się, że szereg osób w stolicy Finlandji zna nasz język. Po polsku rozmawiali ze mną przyjaciele nasi: prof. uniwersytetu, znany filolog słowiański, dr. J. Mikkola, oraz dyrektor tamtejszego teatru narodowego Kalima, zwolennik polskiego dramatu.

...Na cokole jednego z pomników w Abo (Turku), dawnej stolicy Finlandji, widnieje pamiętny mi napis: „Byłem zadowolony z mojego kraju, a kraj mój ze mnie". — Oby kiedyś po długich latach pracy mógł tak westchnąć sobie p. Hjalmar Prokopé! Życzę mu tego z serca...

Włodzimierz Sokalski

JESTEŚCIE PRZESĄDNI?

Zdaje się, że cała ludzkość jest w poszukiwaniu zaklętych praw od dawna już utraconych. Nasza ciekawość przekracza nasze zdolności rozumienia natury i życia. Skądinąd umysł, dręczony tyloma przeciwieństwami i sprzecznościami losu, stara się wyciągać jakieś wnioski, bez względu na to, czy są słuszne, czy fałszywe.

Przesądy są komentarzami życia, są wyjaśnieniem wielu faktów dla człowieka, który nie ma czasu bawić się w subtelności metafizyczne.

Przesądy stwarzają specjalny światopogląd — kto wie, ile gorszy od innych?

Któż z nas nie jest przesądny, kto nie posiada bodaj jednego „ulubionego" przesądu?

Znany filozof angielski *Johnson* lękał się, że go spotka przykrość, o ile podczas przechadzki nie otrze się o każdą latarnię, spotkaną po drodze.

D. Rockfeller, król amerykańskich przemysłowców i finansistów, nosił przez długi czas w kieszeni kamyczek, znaleziony w orlem gnieździe (podobno takie kamienie chronią przed ruiną i nieszczęściami na giełdzie).

Ludzie nie lubią mówić o swoich przesądach, natomiast skłonni są opowiadać o rzeczach, które przynoszą im szczęście lub przykrość .

Wyborny lotnik *Pelletier-Doisy* zwierza się, że w teorji nie ma przesądów.

— A w praktyce?

— Też ich nie mam, ale... nie chciałbym lecieć aeroplanem, w którym nie byłby wymalowany kot. Ten mój kot przynosi mi szczęście.

Claude Farrère: marynarz, literat, wielbiciel Wschodu, Korsykanin, ma cztery powody, ażeby być przesądnym, a jednak:

— Podróżuję najchętniej w piątki, i jeżeli mi się udaje w piątek trzynastego, ponieważ wtedy pociągi są puste.

— Zapala pan jedną zapałką trzy papierosy?

— Zawsze, bo to gniewa moich bliźnich.

Charles Lindbergh nie wierzy w przesądy ale... w swoją dobrą gwiazdę i w szczęście.

Mistinguett, gwiazda kabaretów paryskich, też wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę i mówiąc to, stuka w drzewo. Trzynastka przynosi jej szczęście.

Paryski bankier *R...* odpowiada na pytanie, czy jest przesądny:

— To zależy. Ale uważam, że nie należy igrać z losem. Zdarzały mi się ciekawe rzeczy. Są ludzie, którzy przynoszą mi „pecha". Z nimi nic mi się nie udaje, najlepszy interes kończy się jaknajgorzej. Inni przynoszą mi szczęście, i z nimi udaje się najtrudniejsza sprawa, najryzykowniejszy interes.

Van Dongen jest przesądny, ale tylko na jednym punkcie.

— Jak się dobrze czuję, to wszystko przynosi mi szczęście. Jak się źle czuję, to wszystko przynosi mi zmartwienie.

— Zgodziłby się pan być trzynastym przy stole?

— Jeżeli obiad jest dobry i w miłem towarzystwie, to — tak.

— Zapaliłby pan jedną zapałką trzy papierosy?

— Nawet cztery. Jestem oszczędny.

— Niczego się pan nie boi? Nie ma pan żadnych zabobonów?

— Owszem, boję się jednej rzeczy strasznie, okropnie, nieskończenie.

— ?

— Kobiet się boję. To mój jedyny przesąd

(h.)

Juljan Ejsmond

Duże i małe litery

(Bajka).

Pyszniły się w pisemku
ogromne litery,
że to niemi się składa
przeróżne „afery".

„Skradł djamenty... Grał w klubie...
Zniewalał nieletnie...
Kiedy hrabia miał w czubie,
oszukał go szpetnie...

Szantażował najwyższe
w kraju naszym sfery..."
Tak głosiły w pisemku
ogromne litery.

A po paru dniach pismo
„petitem" wspomniało,
że to była pomyłka
z tą „aferą" całą...

„Nie kradł nigdy djamentów...
Nie zgrywał się w klubie...
Nie oszukiwał hrabiów,
Choć ci mieli w czubie..."

Lecz ten, który przeczytał
garmontowe blagi,
na „petity" nie zwrócił
najmniejszej uwagi...

MORAŁ:

Kto dybie na sensacje
z wielkim apetytem,
niechaj potem sprostowań
nie daje petitem.

Niech ma potem odwagę
odwołać swe brednie,
dając litery takie
duże — jak poprzednie...

Od Administracji

Uprzejmie prosimy Szan. Prenumeratorów prowincjonalnych o wpłacenie prenumeraty za miesiąc kwiecień lub kwartał II-gi r. b.

Punkt widzenia

I we Francji kobiety skłonne są powierzać swoim fryzjerom nietylko głowy, ale i zawarte w nich tajemnice i troski...

Oto djalog u fryzjera, napisany przez Adriana Vely:

— Dzień dobry, panie Henryku.

— Moje uszanowanie pani... dawno pani u nas nie było. Jak zdrowie szanownej pani.

— Dziękuję, mam się doskonale... ale...

— Przykrości? Któż nie ma drobnych przykrości.

— Mam nawet wielkie zmartwienie.

— Życie, proszę pani...

— Rozstaję się z panem Chaneil.

— Doprawdy? Taki wytworny mężczyzna...

— Wszyscy mężczyźni są jednakowi.

— Racja, szanowna pani. Ale kobiety nie są jednakowe.... I porzucić taką osobę, jak szanowna pani... nie,—nie znajdzie odpowiedniejszej towarzyszki od łaskawej pani. Natomiast pani może wybierać...

— Wiem, wiem... Zresztą moja miłość własna nie cierpi na tem. Pan Chaneil rozstaje się ze mną, gdyż pragnie się ożenić.

— Rodzina!... I szanowna pani ma zmartwienie.

— Bądź co bądź to nie jest przyjemne.

— Może kłopoty?

— Nie mogę powiedzieć, że mam kłopoty.... pan Chaneil kupił willę podmiejską...

— Winszuję, to ładny upominek.

— Prócz tego, daje mi czterdzieści tysięcy dolarów...

— Wspaniale!...

— Ale co może kobieta tego pokroju, co ja, robić z willą, czterdziestoma tysiącami dolarów, żeby nie naruszać kapitału i żyć przyzwoicie?

— Sprzedaje się willę.

— O nie... zrobiłoby to jaknajgorsze wrażenie. Widzi pan, panie Henryku, gdy kobieta poświęca mężczyźnie trzy lata swojego życia, i gdy ten mężczyzna rozstaje się z nią, to powinien dać jej stanowisko, ale prawdziwe stanowisko.... Martwiłabym się znacznie więcej, gdyby pan Chaneil postąpił, jak prawdziwy gentleman. Zachowałabym o nim lepsze pojęcie i gorętsze wspomnienie.

— Fakt faktem, że będzie żałować.

— Nie ma czego żałować, mało go to kosztowało....

*

....Po jakimś czasie:

— Panie Henryku, widziałam się z panem Chaneil.

— Już?.... Myślałem, że odwiedzi panią dopiero po ślubie.

— Nie żeni się... Nie, nie mógł... zanadto mu brakowałam... Zerwał zaręczyny i wrócił do mnie...

— Winszuję szanownej pani.

— A nawet pan Chaneil pytał mnie, czybym nie chciała go zaślubić.

— Szanowna pani nie wahała się długo?

— Panu Chaneil tak zależało, że nie mogłam mu zrobić przykrości, dając odpowiedź odmowną...

— I zdaje mi się, że pan Chaneil jest nadzwyczajną partją!...

— Ale i on ze swojej strony uskarżać się nie może... pan Chaneil nie znajdzie wielu panien, które wniosłyby mu w posagu willę i czterdzieści tysięcy dolarów.

(h).

Z TEATRU LWOWSKIEGO



W teatrze Wielkim we Lwowie wystawiono z nadzwyczajnem powodzeniem „bajkę dla dorosłych" James Barrie, „Pocałunek Kopciuszka", w inscenizacji Ryszarda Ordyńskiego, a reżyserji dyr. T. Trzcińskiego. W rolach głównych wielki sukces odnosi dwoje artystów, znanych z teatru Narodowego, pp. Zaklicka i Alfr. Szymański

Z MUZYKI

„MESJASZ" W FILHARMONJI.

W życiu muzycznem Warszawy wydarzył się fakt, który podkreślamy na tem miejscu z głębokiem wzruszeniem i radością, fakt, dający gwarancję zdrowych intencyj tak pośród szerokich rzesz zwolenników muzyki, jak też dający gwarancję powagi, energji, talentu i ofiarnej pracy pośród naszych muzyków: Oto na piątkowym koncercie w Filharmonji wystawiono własnemi, — to jest warszawskiemi — siłami wielkie oratorjum Händla „Mesjasz".

Cała zasługa tego wysiłku, zaiste więcej wartego od niezliczonych pokazów wirtuozowskich i opieszałych wznowień operowych, przypada w udziale prof. Stanisławowi Kazuro, który złączył pod swą batutą chóry Wydziału Nauczycielstwa i Kapeli Ludowej, chóry owe wyćwiczył, wyrównał doskonale w brzmieniu, uczynił z nich wielki, czysto i potężnie brzmiący instrument, wreszcie instrumentowi owemu nadał szlachetny styl.

Laicy nie zdają sobie sprawy, ile w takie zadanie, zwłaszcza u nas na Mazowszu, gdzie element muzyczny przedstawia się tak ubogo, — włożyć trzeba pracy i poświęcenia. Laicy nie zdają sobie też sprawy, że dopiero powołanie publiczności, to jest amatorów, do współtworzenia muzyki, do współpracy w wykonaniu jest istotną i jedynie celową propagandą wielkiej sztuki.

Można bez przesady powiedzieć, że właśnie w tym kierunku prof. Kazuro dokonał przełomu. Dał Warszawie piękny zbiorowy instrument, z którym oby się udało prowadzić tak świetnie rozpoczęte dzieło naprzód. W „Mesjaszu" Händla chóry zwyciężyły znakomicie wszystkie trudności klasycznego wykonania. Zespół brzmiał świetnie, czysto, cieniował umiejętnie i pewnie.

Pod adresem Filharmonji, która w tym roku daje już drugie tak wielkie wykonanie (msza h-moll Bacha, Händel, może przecież usłyszymy jeszcze Pasję św. Jana Bacha) wyrazilibyśmy jedno jeszcze życzenie: Ogół nasz, szeroka publiczność nie orjentuje się naogół ani w historji muzyki, ani w gatunkach zbiorowych, do jakich należy forma oratorjów lub pasji. Należałoby koniecznie przed temi wielkiemi premjerami dawać popularne odczyty łatwo dostępne dla szerokich mas. Na odczytach takich należałoby omówić właśnie samą formę kompozycji, historję tworzenia się, odmian ewolucji, wreszcie rolę danego klasyka. Tembardziej, że oratorjum, to jako gatunek jeden z najstarszych i najszlachetniejszych, sięgający po przez średniowieczną dewocję i późniejszy renesans, nieomal że greckiego misterjum.

W związku z „wynalezieniem" i ustaleniem przez prof. Kazurę chórów, których w obecnym sensie Warszawa nigdy jeszcze nie miała, wartoby też pomyśleć o wytworzeniu zespołu solistów, t. j. oratoryjnego kwartetu. W „Mesjaszu" nie było na szczęście zespołowego występu solistów. Gdy jednak przyjdzie taka okazja, pokaże się, że każdy ze śpiewaków ciągnąć będzie w swoją stronę, jak widzieliśmy to na mszy Bacha.

*

W dziesięć lat po śmierci Debussy'ego cały świat muzyczny obchodzi uroczyście rocznicę śmierci muzyka, którego uważa za mistrza, oraz za twórcę nowej współczesnej muzyki. Piszący te słowa przypomina sobie czasy ,bynajmniej jeszcze nie tak dawne, gdy poważni teoretycy, profesorowie najwyższych klas kompozycji, zarówno u nas w kraju, jak zagranicą, dla określenia nieprawdopodobnie chaotycznego charakteru tej właśnie nowej debussyowskiej muzyki, — rzucali ręce na chybił trafił na klawiaturę, lub też (wszelacy jowialscy) siadali na klawiaturę i mówili: Tak oto brzmi ta nowa muzyka.

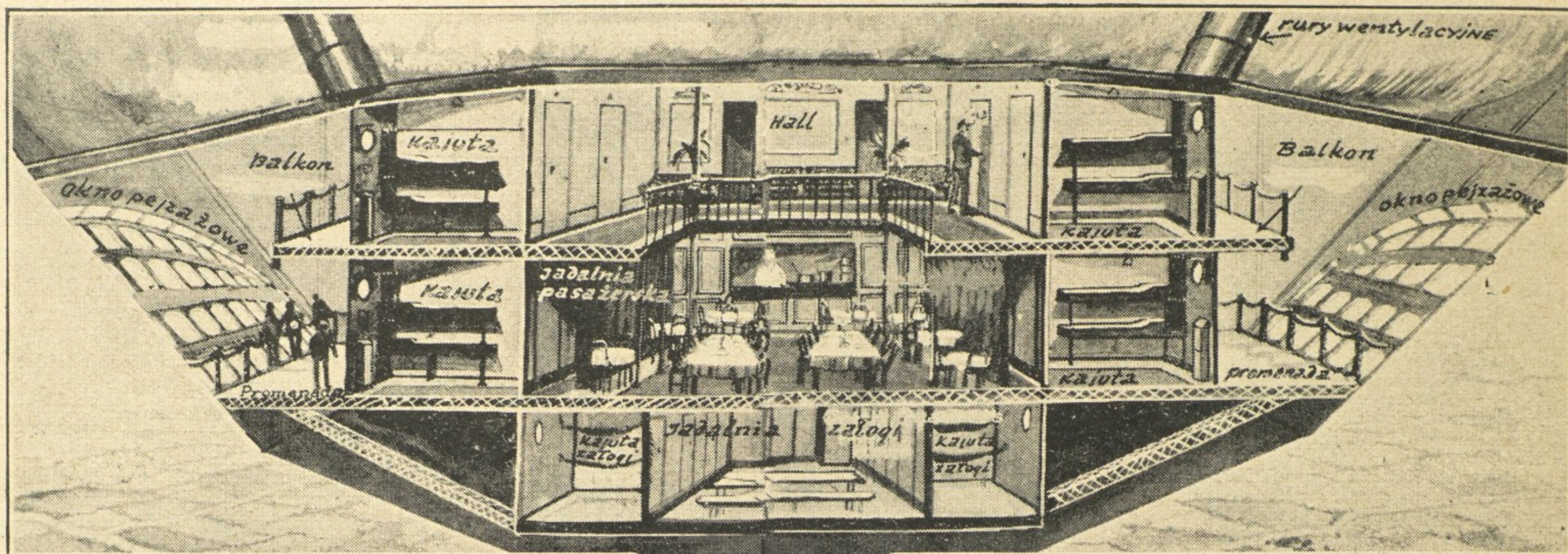
Jakąż zbrodnię popełnił Debussy przeciw zastanym przez siebie prawidłom i jakąż głosił nowość? Zbrodnię popełnił dwojaką: Pierwszy usłyszał tonację nowej współczesności. Ów dźwięk współczesności, powstały z głosów nowego miasta, nowych wynalazków technicznych, a określający dotychczasowe zdobycze, jako warunkowe zmienne przechodnie. Debussy pierwszy dał wyraz tej współczesności w swej inwencji muzycznej, rozbijając dotychczasową logikę harmonji i burząc dotychczasowy porządek rytmiczny. Na miejsce zdobywczej muzyki wagnerowskiej bardzo w zasadach swych literackiej wprowadził Debussy muzykę, która już nie opowiada, lecz przedstawia stan uczuć w okresie ich przepływu tworzenia się i narastania. Pod znakiem Debussy'ego stanęła i rozwijać się zaczęła najnowsza muzyka, dochodząc w poszczególnych krajach i szkołach do zupełnego usamodzielnienia się. Tak więc autor Peleasa i Melisandy okazał się nietylko wielkim samorodnym twórcą, lecz także lepszym, aktualniejszym od Straussa i Regera prorokiem nowych prawd w muzyce.

*

Zasłużony kompozytor i znakomity kierownik oraz organizator chórów, Piotr Maszyński. wznowił w Filharmonji „Dziadów" Moniuszki. Jest to jedno z najpiękniejszych zespołowych dzieł Moniuszki, pełne głębokiego sentymentu i uroczej zaiste harmonji. Pod batutą Maszyńskiego wznowienie wypadło nader artystycznie i owiane było głębokiem zrozumieniem podniosłego nastroju.

jkb.

LATAJĄCY HOTEL

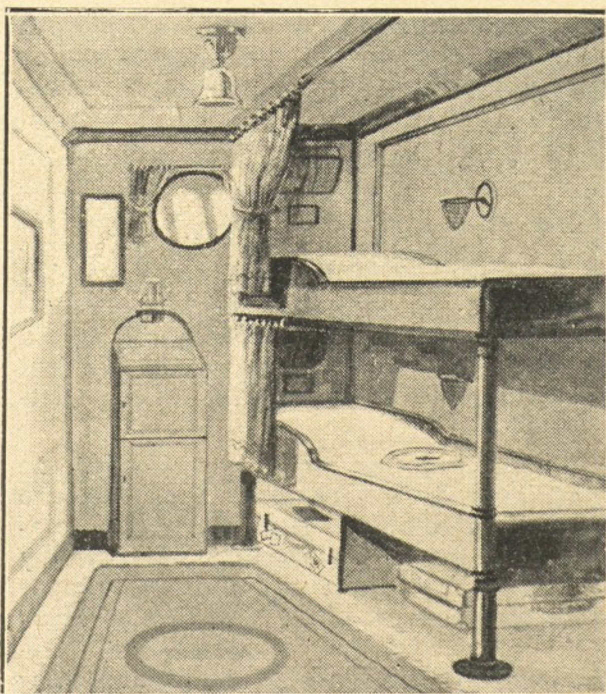


Gdy hr. Zeppelin skonstruował swój pierwszy wielki statek powietrzny, zarówno w kołach fachowców, jak zwłaszcza laików, rozbrzmiewały liczne głosy, że ludzkość stoi u progu nowej ery komunikacyjnej. Niestety, oczekiwania te zawiodły. Przedewszystkiem los zawziął się na nieszczęsnego niemieckiego wynalazcę, który zrealizowaniu swej idei poświęcił wiele lat pracy i cały swój osobisty majątek. Statki powietrzne hr. Zeppelina raz po raz ulegały katastrofom, co poważnie nadwątliło pierwotne zaufanie ku nim w szerokich warstwach. Potem wypłynął na podniebną widownię samolot, aparat cięższy od powietrza, i szybko zdobywał świat coraz nowemi tryumfalnemi rekordami. Kapryśna opinja ogółu, zawsze wrażliwa na doraźne efekty, przestała interesować się balonami tego czy innego typu,ześrodkowała uwagę na aeroplanach, rokując jedynie im przyszłość, jako nowemu systemowi powietrznej komunikacji. Nawet w Niemczech osłabło do minimum zainteresowanie statkami sztywnego typu hr. Zeppelina, we Francji typ półsztywny znalazł niewielkie tylko zastosowanie jedynie w armji.

Po wojnie lotnictwo spełniło częściowo wielkie pokładane w niem nadzieje. Powstała rozległa sieć arterji lotniczych, łączących wielkie miasta i w Europie i w Ameryce, komunikacja lotnicza osobowa, pocztowa, a nawet towarowa rozwija się z roku na rok coraz pomyślniej, samolot rywalizuje zwycięsko z koleją i samochodem.

Ale... pozostało małe... ale. Pozostały dwa problemy, których właściwie dotąd nie udało się rozwiązać, a które dla przyszłości komunikacji powietrznej mają doniosłe, pierwszorzędne znaczenie. Nie udało się dotychczas zbudować samolotu, mogącego zabierać większą liczbę pasażerów. Amerykańska próba Sikorskiego, wskutek katastrofy, jakiej uległ aparat w chwili odlotu, nie dała wyniku, skutkiem czego nie wiadomo, czy obmyślany świetnie w teorji gigantyczny samolot zda również praktycznie egzamin z pomyślnym skutkiem. A dopiero rozwiązanie tego problemu może rozpowszechnić komunikację lotniczą.

Drugim problemem, również decydującym, jest kwestja dalekich podróży, a przedewszystkiem przelotów ponad morzami i oceanami. Tryumfy lotników, którzy przelecieli z Ameryki do Europy, są tylko indywidualnemi zwycięstwami ludzkiej energji i odwagi, są dowodami możliwości przelotu, ale bynajmniej nie rozwiązaniem kwestji. Normalny pasażer nie odważy się na podróż w takich warunkach, bo podróż ta jest jeszcze ciągle w najwyższym stopniu hazardem, bo ryzykuje się podczas niej życie od pierwszej chwili wzlecenia nad fale oceanu nieustannie, aż do końca przelotu. Wystarczy drobna zmiana pogody, lekki wiaterek, aby powędrować na „tamten świat" zamiast do Nowego czy Starego świata.


Kajuta sypialna dwułóżkowa

Oczywiście, dla ambicji współczesnego człowieka jest to dotkliwy cios. Jakto? Z względnem bezpieczeństwem, nie mniejszem wcale, niż na kolei czy w samochodzie, wędruję sobie powietrzną drogą z Warszawy do Paryża, czy z Rzymu do Londynu, czy gdzieindziej, a tylko Atlantyk ma stawać wpoprzek moim drogom? Czyżby wydawało mi się tylko, że jestem zdobywcą i zwycięzcą powietrza? Nie, to nie może dłużej trwać!

W tej walce o honor współczesnej techniki wynalazcy przypomnieli sobie balon ze sterem, przypomnieli sobie, że zabrany Niemcom po wojnie Zeppelin odbył bezpiecznie i pomyślnie powietrzną podróż do Ameryki ponad Atlantykiem. Nie można przeskoczyć, więc trzeba podleść—stare, dobre przysłowie.

Armja techników i konstruktorów zabrała się do dzieła. Obmyślono i rozważono wszystkie szczegóły, przeprowadzono niezliczone próby, wykreślono tysiące rysunków. A rezultatem tej całej pracy jest, że już w roku bieżącym zacznie krążyć w powietrznych przestworzach, utrzymując regularną komunikację między Europą i Ameryką, najcudowniejsza machina latająca, jaką kiedykolwiek dotychczas skonstruowano, olbrzymi statek powietrzny sztywnego typu, nazwany „R. 100", budowany obecnie przez „Airship Guarantec Company Ltd." w aerodromie Howden w Yorkshire. Drugi podobny statek jest konstruowany przez rząd angielski w „Royal Airship Works" w Cardington w pobliżu Bedfordu; będzie on miał nazwę „R. 101".

Prasa angielska zamieszcza obecnie garść szczegółów o gigantycznym statku oraz podaje ilustracje jego wewnętrznych urządzeń na podstawie planów i opisów konstrukcyjnych. Ciężar statku „R. 100" przy całkowitem obładowaniu obliczono

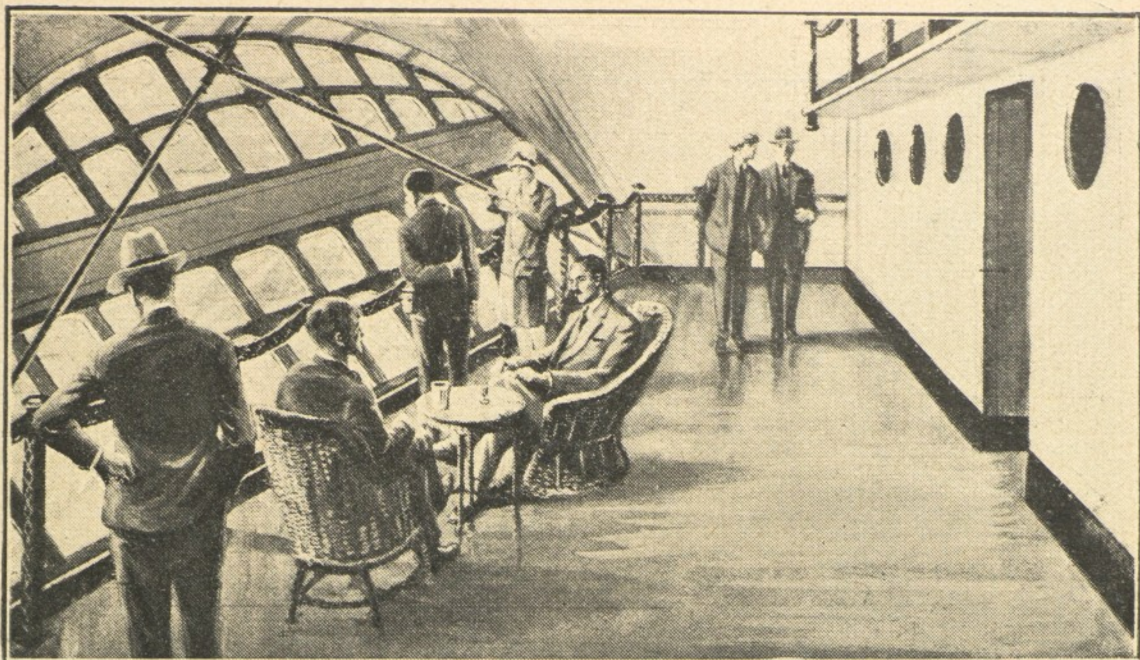
na 156 ton. Długość statku, mającego podobnie, jak Zeppeliny, cygarowaty kształt, wynosić będzie 709 stóp ang., średnica w najszerszem przecięciu 133 stóp, objętość 225 stóp kwadr. Podczas gdy w dawniejszych statkach powietrznych, a zwłaszcza we wszystkich Zeppelinach, rusztowanie balonu było zrobione z duraluminium obrączkowego, tutaj we wszystkich głównych częściach składowych zastosowano duraluminium rurkowe, wyrabiane specjalnie w Howden, niezwykle lekkie pod względem wagi ale równocześnie niesłychanie wytrzymałe.

Do poruszania statku i wprawiania w ruch sterów oraz urządzeń pomocniczych służą trzy duże maszyny. Celem zapewnienia jaknajwiększej równowagi statku rozmieszczono je w ten sposób, że dwie z nich znajdują się mniejwięcej w połowie długości statku i stoją z dwóch stron równolegle do siebie; trzecia maszyna mieści się bardziej ku tyłowi na głównej osi statku. Energji dostarcza sześć motorów Rolls-Royce typu „Condor", każdy o sile 650 KP. Wzdłuż całego statku biegną dookoła metalowego rusztowania krużganki, ułatwiające dostęp do maszyn, sterów i tp., oraz wiodące do oddziału ładunkowego, znajdującego się poza środkową parą maszyn.

Gaz, unoszący całą konstrukcję, mieści się w piętnastu olbrzymich, szczelnych balonetach. Ilość ich jest tak obliczona, że nawet wrazie uszkodzenia kilku z nich pozostałe wystarczają zupełnie do utrzymania balonu w powietru. W ten sposób zatem zapewniono maksimum bezpieczeństwa podróży. Do wnętrza statku, dzięki specjalnym powłokom i ochraniaczom, nie może się przedostać ani odrobina gazu.

Pozatem jeszcze zwrócono szczególną uwagę na zabezpieczenie statku przed groźbą ognia i pożaru. Całe pomieszczenie pasażerskie jest zbudowane wyłącznie z niepalnych materjałów, nakrywa je potrójny dach, również ogniotrwały.

Nad prawidłowością ruchów statku czuwa specjalny oddział kontroli ruchu, zawieszony jakgdyby w gnieździe poniżej pomieszczenia pasażerskiego. Jest to niejako mostek kapitański oraz budka sternika. Z oddziałem łączą się również kabiny telegrafu iskrowego, dzięki czemu statek podczas całej podróży może utrzymywać stały kontakt z ziemią.



Pokład spacerowy

Szybkość statku jest obliczona przeciętnie na około 83 mile angielskie na godzinę, jest więc stosunkowo bardzo znaczna.

Załoga, licząca ogółem 40 ludzi, składa się z kapitana, 3 oficerów, sztabu mechaników, kucharza, stewardów i td.

„R. 100" ma urządzenia luksusowego statku. Zawiera on 39 kajut sypialnych oraz ogromną salę jadalną, w której może zasiąść do stołów równocześnie 50 osób. Ogółem statek zabierać będzie 100 pasażerów. Oddział pasażerski, zawieszony bardzo pomysłowo w konstrukcji balonu, składa się z trzech pięter. Najniższe piętro przeznaczone jest na pomieszczenie załogi i urządzone jest p dobnie, jak marynarska kajuta na statkach morskich. Średni pokład zajmuje jadalnia, promenada i kajuty sypialne, na najwyższem piętrze mieści się rodzaj hallu, odwróconego, bo schody wiodą w dół zamiast w górę, oraz reszta kajut sypialnych i balkony. Zarówno z promenady, jak z balkonów podróżny może zachwycać się widokiem okolic, nad któremi przelatuje, przez ogromne, skośnie rozmieszczone szyby okienne.

Jest to więc prawdziwy latający hotel dla 100 podróżnych, urządzony z największym nowoczesnym komfortem.

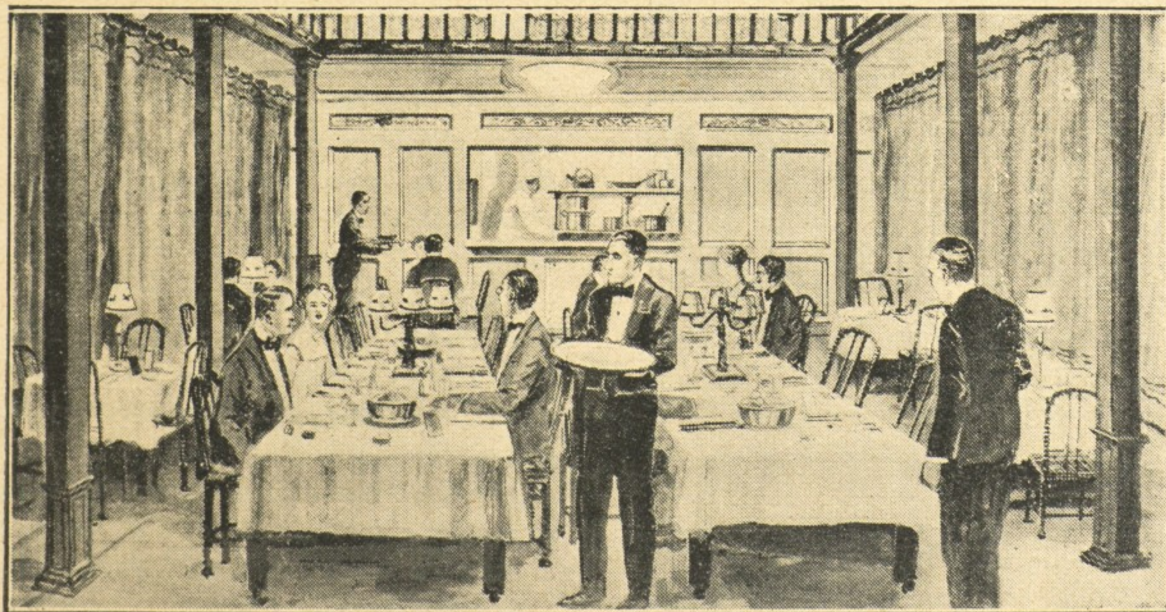
Wedle opinji fachowców, latający hotel gwarantuje podróżnym nie mniejsze bezpieczeństwo, aniżeli pływające hotele, jeśli można tak powiedzieć, to znaczy wielkie statki oceaniczne. To nie maleńki samolot, który przy lada burzy staje się igraszką wichrów, który jest poprostu bezbronną ofiarą żywiołów.

Na pokładzie tego statku nie grozi los Nunnegessera ani Hinchcliffa i miss Mackay, którzy życiem zapłacili za swą odwagę próby przelotu przez Atlantyk. Nie może się także równać z „R. 100" obecna duma niemieckiego lotnictwa, największy, jaki dotychczas zbudowano, samolot towarzystwa żeglugi powietrznej Nanse, posiadający w swych kabinach 22 sypialne miejsca. To będzie hotel latający ponad lądami, ale nie odważy się on zapuścić ponad fale oceanu.

„R. 100" łatwo stać się może zaczątkiem nowej ery komunikacyjnej w życiu ludzkości. Jego powodzenia, w które nie wątpią inicjatorzy przedsięwzięcia, zachęcą innych do naśladownictwa. Obok linji aeroplanowych, powstaną arterje sterowców, łączące z sobą stolice Europy. a użytkowane przez tych, którzy dzisiaj niezbyt odważnie wsiadają do samolotu, lub wogóle nie chcą ryzykować podniebnego niebezpieczeństwa.

I w naszych oczach urzeczywistni się — w nieco zmienionej oczywiście formie — piękna baśń o latającym dywanie.

St. J.



Salon restauracyjny

Miecz sprawiedliwości chińskiej



Pijany skazaniec



Egzekucja



Oficer wykonujący wyroki sprawiedliwości

Chińczycy egzekucje zbrodniarzy, rozbójników, bandytów wykonywują publicznie. Gnają skutych skazańców na plac wykonania wyroków pod eskortą bagnetów. Są oni pijani. Każdy skazaniec przed egzekucją otrzymuje dużą porcję wódki, pędzonej z ryżu. Podczas przeprowadzania na miejsce kaźni zdarzają się niekiedy i śmieszne sceny. Stary, pochylony, chiński bandyta, gnany przez handlową dzielnicę miasta, woła na jakiegoś kupca:

— Synu, tak mi się odwdzięczasz! Dla ciebie mordowałem, a ty spokojnie dziś handlujesz...



„Miecz sprawiedliwości" nad szyją skazańca

Niekiedy dowcip taki wywołuje i tragiczny skutek. Tłum gapiów napada na niewdzięcznego syna i linczuje go. O ile za skazańcami jadą zaraz wykonawcy wyroku z oficerem na czele, dzierżącym w ręku symboliczny „miecz sprawiedliwości" — wystarczy, że podniesie on go ku górze, by tłum zatrzymał się, znieruchomiał. Miecz ten w każdej chwili z symbolu przeistoczyć się może w narzędzie karzące.

Na znak tego miecza kaci ścinają chińskie głowy. Teraz w państwie żółtego smoka zmodernizowano cokolwiek wykonywanie wyroków. Chińscy oprawcy przejęli od bolszewickich nauczycieli sztukę odbierania życia ludziom zapomocą strzału w głowę z tyłu. Jest to, jak wiadomo, wynalazek komunistycznych czekistów.

Pracuje jednak i stary, zwyczajem uświęcony, miecz sprawiedliwości chińskiej. Budzi on grozę i wstręt nawet na ilustracji.

POLSKA „JÓZEFINA BAKER"





Jedna z pań tutejszego towarzystwa z powodzeniem naśladuje słynną tancerkę paryską

Dawni i nowi mistrzowie

Plastyka polska nie cieszy się zainteresowaniem społecznem tak wielkiem, jak na to zasługiwałaby i powinna zasługiwać ze względu na poziom naszej kultury narodowej. Dorobek artystyczny naszych mistrzów pędzla i dłuta winien być znany jaknajszerszym warstwom naszego społeczeństwa. Niestety, nawet ludzie skądinąd światli i wykształceni w stosunku do sztuki trzymają się zdaleka. Zawiniło w tym względzie szkolnictwo i wychowanie dosyć dużo. Teraz gdy sami kształtujemy naszą pedagogję — zjawiskom kultury artystycznej musimy dać odpowiednie miejsce w programach wychowania.

Polski malarz czy rzeźbiarz bez tej podstawy w świadomości ogółu był pracownikiem, niezwiązanym z potrzebami duchowemi własnego społeczeństwa. Wiele już zrobiono w tym kierunku; jest to jednak jeszcze kropla w morzu właściwego traktowania sztuki.

Dobrze że pod redakcją dr. Mieczysława Tretera zaczęła wychodzić biblioteka, złożona z monografji, poświęconych poszczególnym artystom, jak i kierunkom w plastyce. Książki te niewątpliwie przyczynią się do popularyzacji tak dorobku artystycznego, jak i fermentów ideologicznych, nurtujących wśród naszych plastyków. Obecnie ukazała się monografja H. Rodakowskiego w opracowaniu znanego estety i literata, Władysława Kozickiego. Malarz ten dla pokolenia młodszego jest rewelacją. Któż pamiętał o twórcy tak świetnych płócien, jak portret gen. Dembińskiego, jak konterfekt malarza Leona Kaplińskiego? Kto może wymienić zalety kompozycyjne historycznego obrazu p. t. „Hr. Wilczek błaga Jana III-go o pomoc dla Wiednia"?

Henryk Rodakowski w malarstwie matejkowskiem jest jednym z filarów. Cieszył się ongiś europejską wziętością. W r. 1852 był wyróżniany i honorowany w Paryżu. Otrzymał złoty medal za portret gen. Dembińskiego i to otworzyło mu drogę do sławy.

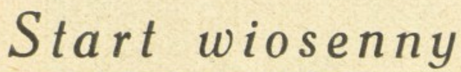
I twórczość Wł. Czachórskiego straciła cokolwiek na swojej popularności. Przed laty trzydziestu był to artysta niezwykle wenerowany. Dobrze się stało, iż Henryk Piątkowski, świadek jego tryumfów artystycznych, przypomniał nam jego błyskotliwą, świetną karjerę malarską. „Dzieła jego, płacone na wagę złota przez amatorów i kolekcjonerów, rywalizowały zwycięsko z utworami artystów tej miary, co Florent Williams i Alfred Stevens". Złoty medal za płótno p. t. „Hamlet" na wszechświatowej wystawie w Monachium w roku 1879 otworzył mu wszystkie artystyczne centra świata. Czachórski był poszukiwany jako wystawca we Francji, Włoszech, Anglji, Stanach Zjednoczonych. W kraju również cieszył się wielkiem uznaniem. Miło jest wziąć do ręki książkę o tym malarzu: załączone reprodukcje jego dzieł przypominają niezwykłe mistrzowstwo pędzla. Wystarczy zresztą przypomnieć sobie i obrazy, znajdujące się w zbiorach Warszawskiej Zachęty, by przechować nazawsze kult dla tego artysty.

W kolekcji obecnie wydanych monografji znajdowały się i książki o współczesnych malarzach. P. Stefanja Zahorska dała syntezę twórczości Eugenjusza Zaka, popularnego artysty w salonach paryskich, p. Szczęsny Rutkowski napisał książkę o Jacku Mierzejewskim. Zak jak i Mierzejewski zamknęli już swój dorobek. Zmarli przedwcześnie ze stratą dla malarstwa. Sztuka ich nie może liczyć na szerszą popularność. Jest ona wykładnikiem pewnych doktryn, które w książce p. t. „Formiści polscy" wykłada p. Roman Winkler, również malarz. Jest ciekawe, że wśród formistów znalazł się i znakomity rzeźbiarz Jan Szczepkowski. Należy to policzyć i na karb rozciągliwości teorji formizmu. W każdym razie książka zasługuje na poparcie. Załączone reprodukcje przeważnie przeczą wszelkim pojęciom o formie. Widać z tego, że teorja formizmu jest niewspółmierna z osiągniętemi artystycznemi rezultatami. Po dziesięciu latach doświadczeń i prób nie pozostawia dzieł o fascynującej, atrakcyjnej wartości. Jako echo usiłowań artystów zachodnio - europejskich ciekawe są te swoiste próby naszej interpretacji nowych kierunków w plastyce.

Dr. Z. M.



ZE SPORTU.



Start wiosenny

Druga niedziela ligowa. — Następca ś. p. Freyera. — „Europeizacja" piłkarstwa.— Chmury na niebie olimpijskiem. — Amerykanie szaleją.

Słoneczny, piękny marzec sprzyja wiosennemu startowi „letnich" sportów.

Pierwsi ruszyli do długiej i żmudnej kampanji piłkarze.

Słusznie też nazywa się ich pierwiosnkami sportowymi. W Zakopanem jeszcze biegają i skaczą na śniegu, a ani na dolinach „bez względu na pogodę" uwijają się po zaśnieżonych boiskach, marznąc niemiłosiernie na mrozie i wietrze. O ile pierwsza niedziela ligowa była niefortunna z racji klasycznych warunków zimowych, o tyle ostatnia już spisała się lepiej.

Na siedmiu boiskach, w siedmiu różnych krańcach Polski pracowały drużyny ligowe.

Przejdźmy po kolei wszystkie wyniki.

W Krakowie debiutuje po raz pierwszy w szrankach ligowych seniorka polskiego piłkarstwa Cracovia. Los wyznaczył jej na pierwszego przeciwnika drużynę lwowską — Czarnych.

Wynik uzyskany przez Cracovię 6 : 0, jest groźną zapowiedzią dla innych czołowych zespołów ligowych. Czarni są jeszcze bez treningu. Najlepszym w drużynie zwycięzców był weteran Gintel, grający na środku ataku. Zdobył on sam 5 bramek. Szóstą „podarował" swym barwom Kubiński. Wśród lwowian wyróżniał się tylko Nastula. W pierwszej połowie Cracovia „gniotła" przeciwników bezapelacyjnie. Po przerwie mając dwa punkty zapewnione nie wysilała się zupełnie, i grała, byle tylko utrzymać wynik. Jest to charakterystyczne dla rozgrywek na punkty.

Drugi potentat ligowy Wisła uporała się z łódzkiemi Turystami 3 : 0 (2 : 0). Grali oni wyjątkowo słabo i chaotycznie. Nawet, gdyby byli o klasę lepsi, to i tak meczu tego nie wygraliby. Wisła jest najrówniejszą drużyną w lidze i, twardo będzie bronić swego tytułu mistrzowskiego. Tembardziej, że w długoletniej karjerze piłkarskiej tego klubu po raz pierwszy udało się jej zdobyć pierwsze miejsce wśród tylu groźnych rywali.

Trzeci najgroźniejszy ligowiec, lwowska Pogoń rozprawiła się bez wielkich trudności z wieczną swą rywalką Hasmoneą w stosunku 2 : 0 (1 : 0). Gra była mało interesująca. Bramki zdobyli: Wichura z karnego i Słonecki.

Następni arystokraci ligowi Legja, Warta i I. F. C. również wykonali skrupulatnie „zgarnięcie" zwycięskich punktów. Warta — Warszawianka 2 : 1 (0 : 0), Legja — Ł. K. S. 3 : 0 (3 : 0),— I. F. C. — Ruch 4 : 0 (1 : 0), Polonia — T. K. S. 4 : 1 (3 : 0).

Leaderzy dowiedli swym startem wiosennym, że są wszyscy należycie przygotowani do walki o czołowe miejsca w lidze. Pozatem wyniki ich dowodzą, że w układzie sił nic się nie zmieniło od zeszłego roku. Napewno niespodzianek nie zabraknie. Wielką niewiadomą jest Śląsk. Pozatem Cracovia ze swoim misternym systemem gry też stoi na razie pod znakiem zapytania. Czy wytrzyma do końca morderczą i wymagającą żelaznych nerwów długą walkę, ciągnącą się przez 7 — 8 miesięcy?

Jedno można przewidzieć napewno: że rozgrywki ligowe będą w tym roku daleko ciekawsze i bardziej emocjonujące od zeszłorocznych. To też amatorzy piłkarstwa zacierają ręce z radości i z niecierpliwością oczekują każdej niedzieli.

*

„Niema między nami Freyera!".

Oto pierwsza smutna refleksja, która musiała przyjść na myśl dwustu biegaczom, startującym w III Dorocznym Narodowym Biegu, na przełaj. Niema Freyera!

Zginął w płomieniach palącego się pałacu hr. Tarnowskiego ratując bezcenne dzieła sztuki i pamiątki historyczne, których nie oglądały nigdy oczy młodego, rwącego się do życia powojennego pokolenia polskiego.

Zginął świetny sportowiec polski, nasza nadzieja przed olimpjadą, ratując dzieła sztuki, z których najlepsze idą na sprzedaż zagranicę...

A u nas? Dziwnem i wiele mówiącem zdarzeniem losu jest połączenie tego odważnego czynu ratowania płonących pamiątek kultury polskiej z imieniem znakomitego sportowca polskiego! Wola zwycięstwa, spokój nerwów, męzki hart i sprawność fizyczna, którą daje sport, cały ten swój wewnętrzny dorobek sportowy złożył Freyer w ofierze...?

„Sport jest szkołą charakterów". Maksymę tą potwierdza czyn Freyera, którego zabrakło na starcie III Narodowego Biegu na przełaj.

Tytuł najlepszego długodystansowca polskiego przejął po nim lwowianin Sawaryn. Nie przerasta on jednak (tak jak jego poprzednik) „o głowę" swoich konkurentów.

Jaworski był tylko o „dłoń" za Sawarynem, którego czas wynosił 21 m. 21.2 s.

*

Piłkarstwo warszawskie „europeizuje się"... Coraz częściej słyszeć można na trybunach wśród publiczności oryginalne wiadomości o różnych graczach, zarządach klubów i sędziach, do których trudno byłoby zastosować miarkę amatorstwa sportowego. Zachodzi tutaj kwestja, czy to widzowie sportowi są tacy cyniczni, czy nasz sport?

A może jedna i druga strona?

Jednym z etapów „cynizmu sportowego" i walki z nim jest wystąpienie Anglji z F. I. F. A. (Międzynarodowy Związek Piłki Nożnej). Powodem tego sensacyjnego kroku były nieporozumienia między pseudo - amatorskiem piłkarstwem kotynentu i Anglją w sprawie kwalifikacji graczy na olimpjadę. Skończyło się wreszcie na tem, że cztery związki piłkarskie Anglji zadecydowały wystąpić z F. I. F. A.

Anglicy mają swoich zawodowców i amatorów. Od jednych i drugich żądają konsekwencji: kontynent zaś jest bardzo nie konsekwentny, wobec tego powiedzieli głośno: dość!

Zobaczymy za parę miesięcy, jakie będą skutki tego postanowienia. Tymczasem amerykanie nie bawiąc się w zawiłe ceregiele na temat amatorstwa i zawodowstwa, urządzili sobie nową sensację w klasycznym amerykańskim stylu .

Mianowicie dn. 4 marca rozpoczął się wyścig lekkoatletyczny na dystansie 5.500 km. (!!!) z Los Angelos do New-Yorku.

Pierwsza nagroda w tym „biegu" wynosi 25.000 dolarów, druga 10.000.

Naiwna Europa ględzi coś o czystych zasadach w sporcie, a oni tymczasem bawią się swoimi niewolnikami sportowymi, puszczając ich już na tysiące kilometrów ku uciesze zblazowanego „Nowego Świata".

Ciekawem jest, ilu z tych męczenników dolara w liczbie 275 wystartowanych w Los - Angelos dobiegnie do N.-Yorku?

R.

DAR IMIENINOWY DLA MARSZAŁKA J. PIŁSUDSKIEGO Z BUDAPESZTU

Kolonja polska i poselstwo w stolicy Węgier w celu uczczenia imienin Marszałka J. Piłsudskiego ze składek zakupiły artystyczny wazon z epoki Rakoczi'ego. Wazon ten przesłano z życzeniami do Belwederu



Wspaniała walka Sawaryna (zwycięzca) z Jaworskim na finiszu

Fot. Jan Ryś



Karol Goeppert

Najlepszy filcowy kapelusz

ODEZWA I PROŚBA

Od siedmiu już przeszło wieków Kustodja i Misja Franciszkańska Ziemi św. z polecenia Stolicy Apostolskiej stoi na straży Miejsc św. w Palestynie. W długim tym okresie czasu synowie św. Franciszka nietylko starali się o zachowanie praw katolików do tych św. pamiątek po Zbawicielu, ale też przy pomocy wiernych całego świata dbali wedle możności o ich przyozdobienie i upiększenie. Po wybudowaniu zaś niedawno bazyliki Konania P. Jezusa w Getsemani i bazyliki Przemienienia Pańskiego na Górze Tabor, przystępują obecnie do wzniesienia nowej bazyliki Zwiastowania Najśw. Marji Panny w Nazarecie. Koszta budowy będą pokryte ofiarami zebranemi przez Komisarjat Ziemi świętej, wewnętrzne zaś przyozdobienie bazyliki, jakoto mozaiki, ołtarze, organy itd. będą darami poszczególnych krajów katolickich. Aby i nasza ukochana Polska miała w tem jakąś zasługę i honor, niżej podpisany uzyskał od Kustosza Ziemi św. upoważnienie do zbierania ofiar na ołtarz św. Antoniego dla tej nowej bazyliki. Pod ołtarzem wyryty będzie napis: Polonia semper fidelis erexit hoc altare. (Polska zawsze wierna wzniosła ten ołtarz).



Nazaret: Zwiastowanie

Znając wielką ofiarność Narodu polskiego, jesteśmy pewni, że nie da on się prześcignąć w hojności katolikom innych krajów, i że zarówno duchowieństwo, jak i lud polski nie pożałują Najśw. Panience i św. Antoniemu obfitych jałmużn, które prosimy nadsyłać pod adresem:

Rev. Aurelius Borkowski, O. F. M.
St. Saviour's
Palestine — Jerusalem.

—

Ofiary przyjmuje administracja „Świata".

HERBATA

F P

zawsze wyborna i ekonomiczna ·



UBIORY MĘSKIE

NA SPŁATY

W. Chmurczyński

Żórawia 26 Tel. 193-35.



LEICHNERA Nr. 1001

Smukłość to zdrowie i piękność. Nadmiar tłuszczu utrudnia krążenie krwi oraz normalne funkcjonowanie organizmu.

PRECZ WIĘC Z TŁUSZCZEM!

NIECH ŻYJE SMUKŁA LINJA!

Najdogodniej i najskuteczniej można ją osiągnąć przez LEICHNERA kąpiel smukłości № 1001. Od czasu pojawienia się tego preparatu na rynku, tysiące ludzi miało sposobność przekonać się, że przez kąpiele te osiąga się znaczny ubytek wagi bez żadnych ujemnych dla zdrowia skutków.

LEICHNERA № 1001 kąpiele smukłości są również kąpielami piękności, gdyż czynią ciało śnieżno-białem, delikatnem i usuwają wszelkie wady skóry.

Cena za Kąpiel Zł. 4 50 **Jedna Kuracja 20 Kąpieli**

KĄPIEL SMUKŁOŚCI

L. LEICHNER, PARYŻ-NEUILLY,

16 Rue d'Orleans





Wdzięk naturalny!

Prawdziwa piękność idzie zawsze w parze z prostotą i naturalnością. Prosta, niewyszukana fryzura wymaga właśnie jaknajstaranniejszej pielęgnacji włosów. Shampoo Elida podnosi naturalną piękność włosów, nadaje im jedwabistą miękkość i puszystość oraz przywraca kolor i połysk.

Uwaga: Sprzedajemy obecnie także Shampoo à la camomile dla blondynek (złote opakowanie).

SHAMPOO ELIDA



TAM KUPUJCIE!



ZAKŁAD CIEPŁO - LECZNICZY



Krak. Przedm. 16/18
Tel.: 72-93, 419-44 i 12-52

TERMIA

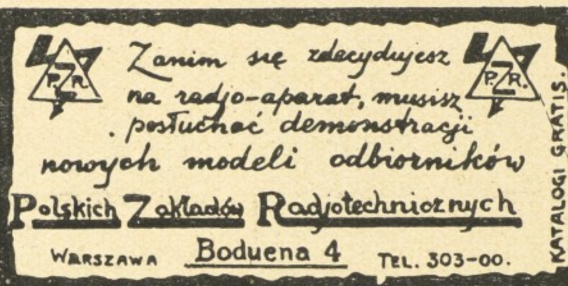
ARTRETYZM, REUMATYZM
ISCHIAS, PODAGRA I OTYŁOŚĆ
Najnowsze metody leczenia
KĄPIELE: PIANKOWE, Świetlne, Tlenowe, PARAFINOTERAPJA, LAMPY KWARCOWE
Dział kosmetyczno-leczniczy
PIELĘGNACJA CERY
Prospekty ilustrowane i cenniki bezpłatne.

SAMOCHODY
AUSTRO
DAIMLER
WIERZBOWA 6.

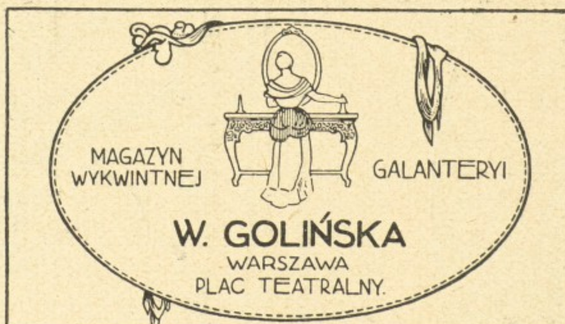
Tlenol
Dr. MEDYC. N. CYBULSKIEGO
prof. Uniw. Jagiellońskiego
Eliksir, Krem, Proszek
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE











Wyborowe PIWA, PORTER i WÓDKI
HABERBUSCH & SCHIELE S. A.
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

PORCELANA, SZKŁO, KRYSZTAŁY, PLATERY, ŻYRANDOLE, ŻARÓWKI
W SKŁADZIE WYROBÓW FIRMY
VILLEROY I BOCH
AL. JEROZOLIMSKIE 33, róg Marsz. Tel. 276-70

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERJA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108, MARSZAŁKOWSKA 108

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD

Sejm i Senat zostały zwołane zarządzeniem p. Prezydenta Rzeczypospolitej na dzień 27 marca do Warszawy.

Prowizorjum budżetowe na okres od 1 kwietnia do 1 czerwca, upoważniające do wydatkowania 618 miljonów złotych, wniósł Rząd do Sejmu. Najpilniejsza w tej chwili sprawa!

Preliminarz budżetowy Polski na rok 1928/29 zamyka się sumą dochodów — 2.525.703 tysiące i sumą wydatków — 2.458.515 tysięcy, a więc 60 miljonami nadwyżki dochodów. Związano koniec z końcem.

Wybory do Sejmu i Senatu kosztowały Skarb Państwa wedle prowizorycznych obliczeń 2 miljony zł. Ale ile kosztowały stronnictwa?

SPRAWY POLSKIE.

Konferencja polsko - litewska w Królewcu budzi ogromne zainteresowanie politycznego świata. Czy Litwa będzie traktować rzeczowo, czy zacznie znowu djalektykę?

P. Waldemaras zdecydował się uczestniczyć osobiście w naradach z Polską, wobec czego i minister Zaleski wyjeżdża do Królewca.

Dekret o strefie granicznej wywołał w prasie niemieckiej gwałtowną kampanję przeciw Polsce. Ale poważniejsze koła przewidują możliwość odprężenia stosunków.

Na Śląsku niemieckim hakatyści rozwijają terorystyczną działalność, prześladując polaków i polskie stowarzyszenia.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Przygotowawcza konferencja rozbrojeniowa zakończyła prace. Rosyjskie projekty będą przesłane poszczególnym rządom do zaopinjowania.

Ograniczenie morskich zbrojeń zaproponowała Anglja w Genewie przez zmniejszenie tonażu pancerników, zmniejszenie kalibru dział i przedłużenie lat służby pancerników.

Hiszpanja wróciła do Ligi Narodów bez zastrzeżeń. Wobec oczekiwanego przystąpienia Turcji, Liga Narodów rozszerzy znacznie zakres swych wpływów na dzieło pokoju.

Naprężenie niemiecko - sowieckie z powodu aresztowań w zagłębiu Donieckiem trwa. Mimo żądań rządu Rzeszy — Moskwa odmawia wyjaśnień. Rokowania handlowe zerwane.

Sowiety rozpoczęły z Pragą rokowania handlowe i okazują skłonność do poważnych ustępstw. Chcą widocznie znaleźć gdzieś punkty oparcia.

Nowy rząd egipski zajął względem Anglji pojednawcze stanowisko i ma nadzieję zdobyć w Izbie poparcie dla pokojowych usiłowań.

RÓŻNE.

Ofiarą lawiny padło w Alpach Tyrolskich 12 narciarzy. Zwłoki ich z trudem odnaleziono.

Z dziedziny kosmetyki

CERA

Wschodni płyn „Mimoza" dla utrzymania czystej cery znany był w sferach arystokratycznych Rosji carskiej, pod nazwą „Mleczko Czarodziejskie" (Wołszebnoje mołoko) i cieszył się zasłużonem powodzeniem. Do Rosji był przysłany przez japońskiego doktora K., którego wzywała carowa, aby przybył ratować jej piękność, kiedy zauważyła, że cera jej więdnie i dostaje pryszczy na twarzy, a całość traci urok młodości.

Jeden z dyplomatów, chcąc zaskarbić sobie łaski carowej polecił jej lekarza z Jokahamy, z którym spotkał się podczas swej misji dyplomatycznej w Japonji i o którym wiedział, że cieszy się zaufaniem u pięknych Japonek, które leczył na różne defekty skóry. Uproszony przez owego dyplomatę, doktór K., nie mogąc przybyć osobiście, nadesłał jej płyn *Mimoza*, z poleceniem, aby ściśle stosowała się do załączonego sposobu użycia.

Płyn okazał się cudownym w skutkach i wszystkie damy dworu starały się zdobyć ów płyn, choć w małej ilości.

Po długotrwałem wypróbowaniu działania tego płynu przekonałam się o nadzwyczaj dodatnich skutkach jego wpływu na cerę, którą utrzymuje stale czystą i gładką i niema takich pryszczy, łuszczenia się, zaognienia i t. p., któreby nie zginęły przy zastosowaniu płynu *Mimoza*.

Po wymyciu twarzy na noc (najlepiej w ciepłej wodzie otrąbkami Abaridowemi), dobrze natrzeć twarz watą, zmoczoną płynem *Mimoza*. To samo powtórzyć rano i raz wśród dnia, tak żeby płynem nacierać twarz 3 — 4 razy dziennie. Naturalnie w dzień można wcierać płyn bez uprzedniego mycia twarzy.

M-me ERCEDES

Z dziedziny kosmetyki lekarskiej

Częste mycie głowy może powodować łamliwość włosów, nierówności w grubości włosów, rozdwajanie się ich na końcach i t. p. To też częstość mycia powinna być zawsze uzależnioną od tłustości włosów. Prof. Monia radzi stosować do mycia czterochlorek węgla, gdyż takowy nie wysusza włosów. Włosy suche należy myć mydłem dobrze przetłuszczonem w gatunku dobrym, jakim jest mydło lanolinowe 5°/o i waselinowe 5°/o (Malinowskiego). Monia podaje przepis następujący: „Mydło szare, mydło hiszpańskie i olej oliwkowy po 50,0 wraz ze spirytusem i gliceryną po 30,0 a także rezorcyną i terpinolem po 5,0 gotuje się w łaźni parowej dolewając wody by otrzymać litr płynnego mydła". O ile by skóra głowy była zbyt wrażliwą zamiast mydła można stosować rozczyn boraksu, panamę lub też żółtka. Woda do mycia powinna być miękką, w braku zaś takiej stosować do zmiękczenia „Molette". Żółtka do mycia Jacksona stosuje w ten sposób, że rozbija 3 żółtka w pół litrze ciepłej miękkiej wody, poczem filtruje i wlewa do miednicy z wodą służącą do mycia głowy. Brunetkom poradzić mogę dolać jeszcze 2 — 3 łyżki stołowe rumu. Alesandre podaje następującą receptę panamy: „Wywaru panamy 6°/o 100,0 i spirytusu 90° — 100,0". Brocq do mycia włosów ciemnych stosuje: „Amoniaku płynnego 10,0, rumu 40,0 i wywaru z liści orzechowych 200,0". Z shampoing'ów zalecić mogę „szacharazadę". O ile by po myciu włosy okazały się zbyt suche, można w skórę głowy wetrzeć nieco kremu lanolinowego lub wazelinowego (Malinowskiego). Przykładem brylantyny do włosów służyć może: „parafiny 5,0, olejku wazelinowego 18,0, olejku różanego 5 kropli, olejku geraniowego 3 kropli i rozczynu waniliny 20 proc. — 7 kropli"

Dr. med. Feliks Rostkowski

WARTOŚĆ I ZAWARTOŚĆ

O wartości wody kolońskiej stanowi oczywiście zawartość w niej, wbrew nazwie, nie wody, lecz pozostałych składników, jako to spirytusu i olejków, oraz sposób przyrządzania. Pod temi względami niezrównana jest



woda kolońska
poczwórna
Fornarina
ze złotą
etykietą

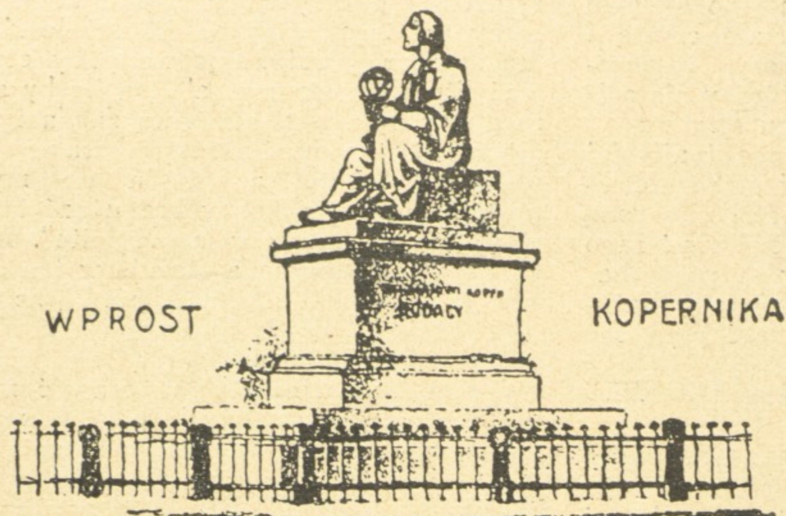
7 wielkości flakonów, 1 gatunek – najlepszy

1 * 9 * 1 * 8
1 * 9 * 2 * 8

INSTYTUCJOM, pragnącym wydać z okazji 10-lecia wskrzeszenia Państwa Polskiego specjalne wytworne wydawnictwa, polecamy nasze doświadczenie

ZAKŁADY GRAFICZNE
GALEWSKI I DAU
WARSZAWA, ORDYNACKA 6
ROK ZAŁ. 1880.

WYTWORNE KRAWIECTWO MĘSKIE poleca Sz. Klijenteli
A. PIĄTKOWSKI
b. długoletni krojczy f. E. ZAREMBA (senior)
NOWOSENATORSKA 5/7 TEL. 526-76.



CUKIERNIE
B. ŻMIJEWSKIEGO

KRAKOWSKIE-PRZEDM № 1 wprost Kopernika tel. 39-39

NOWY-ŚWIAT № 4, telef. 183-93

POLECAJĄ WŁASNE WYROBY: TORTY, MAZURKI, SĘKACZE, BABKI, PLACKI, ORAZ WIELKI WYBÓR JAJEK, BOMBONIEREK I STOLICZKÓW. CUKRY I CZEKOLADKI

Wyroby fabryki perfum

DRALLE'go

ROZPOWSZECHNIONE NA CAŁEJ KULI ZIEMSKIEJ

Dra Drallego Woda Brzozowa do pielęgnowania włosów

OD PÓŁ WIEKU POWSZECHNIE ZNANY ZE SKUTECZNOŚCI

NISZCZY BRODAWKI SKÓRY STWARDNIENIA ODCISKI

ARAGO

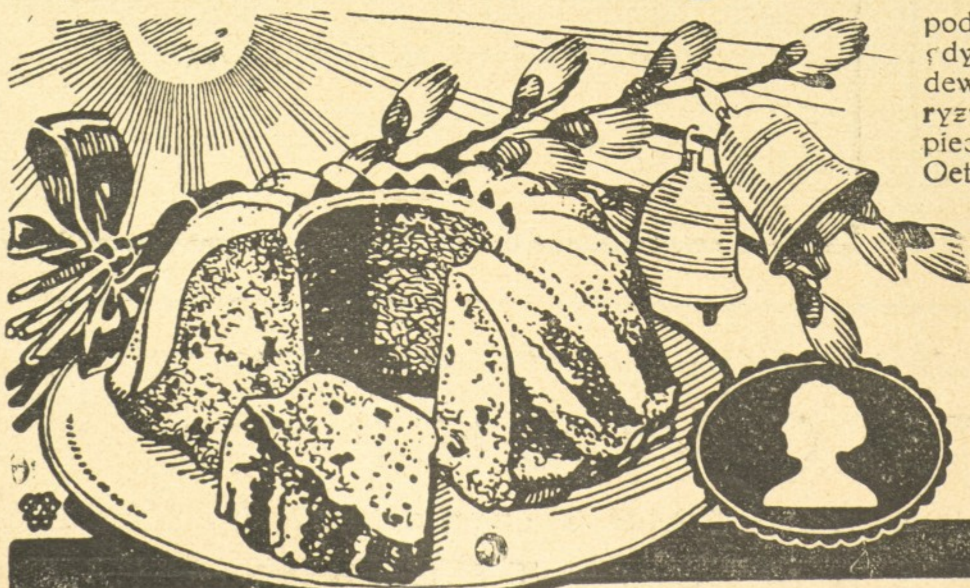
ST. GÓRSKIEGO WARSZAWA

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE

ZĘBY ZDROWE I BIAŁE ZACHOWASZ UŻYWAJĄC PROSZKI

AGATOL MENTOLIN

Właściwy nastrój



podczas świąt Wielkanocnych panuje w rodzinie tylko wówczas, gdy wszystkie przygotowania odpowiedni dały skutek. Przedewszystkiem musi udać się pieczywo. Dlatego radzimy nie ryzykować swych dobrych i obfitych przypraw, lecz użyć do pieczenia Dra. Oetkera proszek „Backin", który taksamo jak Dra. Oetkera proszek budyniowy, cukier waniljowy, mączkę „Gustin" itd. otrzymać można zawsze świeże w wszystkich sklepach. Wiele nowych i cennych wskazówek do pieczenia czerpać można z nowej, **barwnie ilustr.** książki z przepisami **Dra. Oetkera,** wydanie F. którą otrzymać można za 40 gr. w wszystkich sklepach. Z książki tej dowiedzieć się można również bliższych szczegółów o doskonałym aparacie do pieczenia **„Czarodziej",** którym przy małym płomieniu gazowym można smażyć i gotować.

Dr. August Oetker. Oliwa.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa